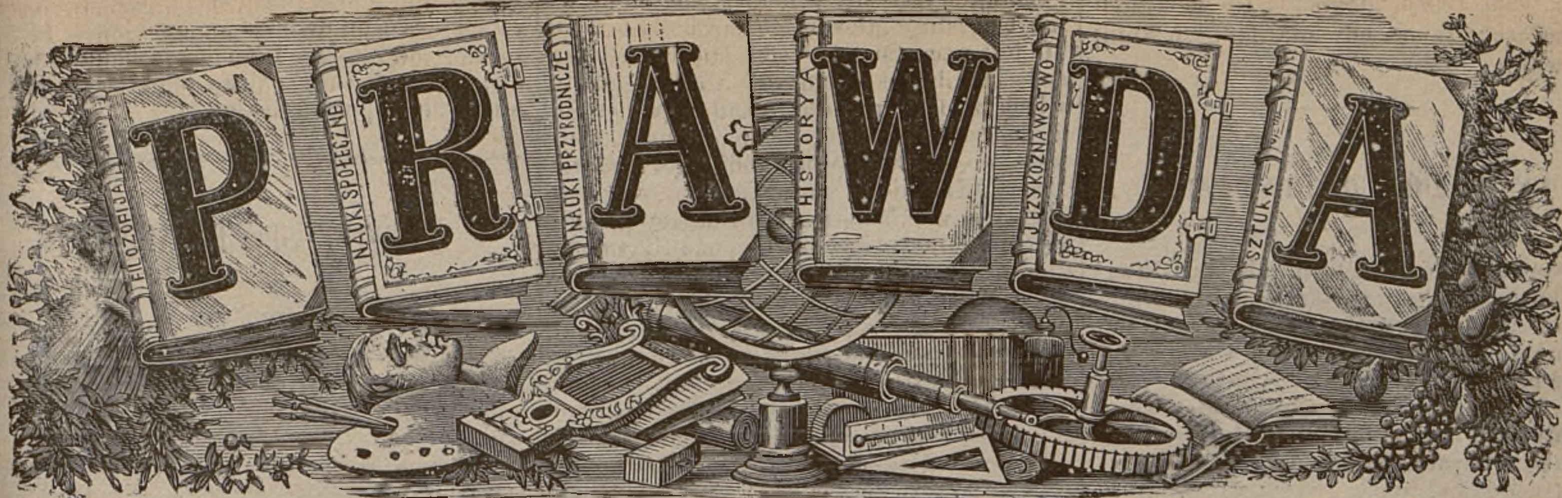
№ 43. Warszawa, dnia 27 (15) Października 1888 r. **Rok VIII.**



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: *Polityka*: Plastry łagodzące.—Tydzień polityczny. — Bulanżysta p. Cecylię Walewską. — *Życie społeczne*: Koloniści.—Listy petersburskie p. N. B.— *Sprawy ekonomiczne*: Obecny kurs rubla p. L. — Propinacye galicyjskie. Wystawa paryska. Wystawa kijowska. Losy Ojcowa p. Drogomira.—*Badania naukowe*: Maszyna robotnicza p. K. — Kartki naukowo-estetyczne. — *Literatura i sztuka*: Literatura polska. Wacław Woysym Antoniewicz: Zygmunt August, król polski p. A. G. Bema.—Wisła.—Harriet Becher Stowe. (Wspomnienie pośmiertne) p. N.—*Poezya*: Spacer p. Włodzimierza Wysockiego.— *Fejleton*: Liberum veto p. Posła Prawdy. — Prasa ruska. — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

PLASTRY ŁAGODZĄCE.

„W archiwum państwa odszukano ceremoniał koronacyi na króla czeskiego."

Taką znaczącą wiadomość, poczerpniętą z rzeczywistości, czy z domyślnej wyobraźni puszczono w świat po wstąpieniu na fotel ministeryalny hr. Schönborna. Nie dociekamy, jaki to dokument ma być wydobyty z archiwum, bo przedewszystkiem nowina jest bardzo podejrzaną i nosi na sobie zbyt wyraźne ślady konceptu reporterskiego. Nie można jej wszakże zaprzeczyć, że lśni się ona barwą obecnego położenia. Nowy minister sprawiedliwości, mimo swej sławy w ruchach raka, mimo klerykalizmu i właściwości kopalnych, musi być jednak dla czechów nabytkiem poważnym, skoro nawet drużyna p. Gregra wstrzymała się w swych podjazdach a węgrzy tak wykrzywili usta, jak gdyby im dano do zjedzenia najostrzejszą paprykę. Czy cesarz Franciszek Józef włoży sobie na głowę koronę św. Wacława, czy też nie, w każdym razie wystąpiły dwa fakty bardzo znamienne: Austrya zrobiła krok naprzód w kierunku słowiańskim i zrobiła go po odwiedzinach Wilhelma II, a więc za zgodą Niemiec. Krok ten miał na celu głównie czechów, których udział w rządzie wyrównano z udziałem Galicyi: obie prowincye mają teraz po dwu ministrów — po jednym czynnym (Dunajewski, Schönborn) i jednym biernym (Zaleski, Prażak). Najważniejszem pytaniem, jakie się tu nasuwa, jest kwestya doniosłości tej zmiany. Austrya przywykła podległe jej ludy słowiańskie uciszać jak dzieci cackami, a młodoczesi w ostatnich miesiącach krzyczeli bardzo głośno; ów tedy Schönborn zarówno może być uspakajającym pierniczkiem, jak i objawem głębiej sięgających zamiarów. Rozstrzygnąć tej zagadki odpowiedzią stanowczą niepodobna, ale w układzie stosunków politycznych łatwo dostrzedz pewne zależności, które upoważniają do wywodów warunkowych. Mianowicie nie ulega wątpieniu, że Austrya czyni to, co uważa za umocnienie swych wewnętrznych wiązań i że taką dla siebie korzyść ujrzała w ustępstwach czechom. Naród zaś ten, przyjmujący wszystko, a niekwitujący nigdy, daleki od naiwności, wiecznie pamiętający o własnym interesie, niebawiący się żadnym nabytkiem, ale wyzyskujący go należycie, nie poprzestanie na pozorach, na radości z cacanek, lecz opanowawszy ważne stanowisko, zechce głębiej wtargnąć do twierdzy państwowej. Obecne jego zadowolenie jest tylko chwilowem i nie nasyci głodu narodowego, który wkrótce odezwie się nowemi żądaniami. W łonie więc Austryi, zamiast zmaleć, wzrośnie jeden z najmocniejszych dopływów prądu, podrywającego obecną jej podstawę niemiecko-węgierską i wytwarzającego grunt nowy, słowiański. Otóż czy Austrya przeciwstawi się, czy ulegnie temu parciu?

Według nas, zależeć to będzie od jej warunków zewnętrznych. Jeżeli wymurowany i żelaznym dachem nakryty przez ks. Bismarka pokój potrwa istotnie długo, o czem już dziś nawet półurzędowi wróżbiarze zaczynają wątpić, jeżeli na wiosnę nie przyleca do niego jaskółki z wieściami popłochu, rząd austryacki będzie zapobiegał dalszemu wylewowi rzek i strumieni słowiańskich, będzie sypał wały i umacniał tamy. Bo tylko pod naciskiem nieodpartej konieczności wyłuska on się ze skóry, której pomimo wszystkich równouprawnień i autonomij dotąd nie zrzucił, ze skóry niemieckiej. Jednostce trudno pozbyć się nałogów, upodobań i przyzwyczajeń, a cóż dopiero państwu, które przez wieki wrastało w tradycye polityczne i którego głowa pozostaje ciągle germańską. Ale jeżeli widnokrąg Europy znowu się zachmurzy, jeżeli ten duch, który w niej ciągle straszy, znowu zacznie narody trwożyć, bądźmy przekonani, że Austrya pójdzie dalej w tym kierunku, w którym Dunajewscy, Zalescy, a zwłaszcza Schönborny i Prażaki są drogowskazami. Nie twierdzimy, ażeby ona już dziś nakreśliła sobie jasny program — brak jej do tego genialnych ludzi i brak jednolitości w materyałach narodowych, przedstawiających najrozmaitsze gatunki; ale że ona możliwość dalszego odniemczenia się przewiduje — to jest więcej, niż prawdopodobnem. Miliony wojsk, armat, karabinów i nienawiści — cały ten ogrom karmi wojennej nie rozpłynie się w parę i nie rozproszy po przestrzeni, lecz prędzej czy później musi się zniszczyć w ogniu, a żaden znak nie zapowiada, ażeby ten ogień miał ominąć Austryę i wypalić się po za jej ścianami. Po wydobyciu na wierzch rozmaitych tajemnic, po rozmaitych odkryciach, w które rok bieżący tak obfitował, dziś już nikt nie uważa ks. Bismarka za jasnowidza, który sięga swym wzrokiem w daleką przyszłość, wszystko zgóry nieomylnie oblicza i układa; przeciwnie stoi on przed nami jako człowiek bardzo ostrożny, czekający na dobre sposobności i masę pracy w rozstrzyganiu zagadnień politycznych powierzający samemu rozwojowi wypadków. Jeżeli zaś on przy swoich wyjątkowych uzdolnieniach dyplomatycznych trzyma się takiej metody, tem bardziej przestrzega jej Austrya, dla której on jest mistrzem, rozkazodawcą i która własnemu rozumowi nie ufa. Za przykładem więc, a może i z porady swego nauczyciela, postanowiła ona najdokuczliwsze bóle uśmierzać plastrami łagodzącymi, zapobiegać starciom wewnętrznym, osłabiającym państwo i czekać, do czego ją zmuszą wypadki. Takim plastrem jest Schönborn i wszystkie ustępstwa na ko-

rzyść słowian. Czy zaś one rozszerzą się dalej i sprowadzą przewrot, to zależy od przyszłości: czy ona odwinie fałdę pokoju, czy wojny.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Sprawozdanie budżetowe ministra Dunajewskiego jest zawsze krótszym lub dłuższym dla niego tryumfem. Umie on bowiem przynajmniej na pierwszem posiedzeniu dowieść przedstawicielom gołej i głodnej Austryi, że ona nie wie, co zrobić ze swoim dostatkiem. Nasz wiek udoskonalił wysoce i sztukę wytwarzania paradoksów statystycznych. Zdawałoby się, że cyfra, ten wyraz najściślejszy i niedopuszczający wielu tłomaczeń, może wyrazić jedno tylko znaczenie. Gdzie tam! Jak ją umiejętna ręka zacznie przestawiać i zapisywać do rozmaitych rubryk, tak okaże bankrutowi, że jest bogaczem a dłużnikowi, że jest wierzycielem. P. Dunajewski przyczynił się niewątpliwie do poprawy finansów austryackich samem zdzierstwem podatkowem, ale że w jego sprawozdaniach tkwi dużo sztuki zręcznego obracania cyframi— to nie ulega wątpliwości. Budżet przedlitawski na rok 1889 żąda 5½ milionów złr. przydatku — a czytelnicy zapewne domyślają się, w jakiej otchłani ma ta suma utonąć: rozumie się — w staraniach około utrzymania pokoju.

Prezes Rady państwa Fr. Smolka był przedmiotem hołdów i uczczeń z powodu jubileuszu parlamentarnego. W wyrażeniu uznania przyjmowały udział rozmaite stronnictwa, chociaż ono niejednakową u wszystkich oddychało szczerością.

Cesarz niemiecki już wrócił do domu. Prawie powszechnem wrażeniem osiągniętem z jego podróży jest to, że król Humbert zatarł radośnie ręce, a Leon XIII je załamał. Anegdotyści opowiadają różne dziwy: że hr. H. Bismark gwałtem wprowadził ks. Henryka (brata cesarskiego) do sali, w której papież zbyt przeciągał rozmowę z dostojnym gościem, że Wilhelm II, powróciwszy do Kwirynału miał rzec: odebrałem papieżowi ostatnią nadzieję itp. Bądź co bądź, dyplomacya watykańska przerachowała się grubo w swych nadziejach i rachubach. Byłby to niewątpliwie bardzo ciekawy i charakterystyczny widok, gdyby namiestnik Chrystusa, głoszącego: „królestwo moje nie jest z tego świata,“ odzyskał był władzę świecką dzięki wyznawcy Lutra, gdyby włoch z obcą pomocą rozbił znowu swoją zjednoczoną ojczyznę — ale, niestety, ciekawe to widowisko nas ominęło. Jeszcze Leon XIII nie dał za wygranę i wykopał jakiś pomysł Cavoura, zapewniający papieżowi moralne zwierzchnictwo nad Rzymem, ale i ta słomka tonącego nie uratuje.

Ks. Bismark albo już ze starości stracił całkiem równowagę, albo też jednym kosztem chce sobie sprawić jak najwięcej przyjemności. Nie przerywa on bowiem walki z cieniem Fryderyka III. Niedość mu było konfiskaty pamiętników, niedość ostrej ich krytyki, niedość uwięzienia Geffkena, niedość zakazu rozsprzedaży broszury Mackenziego, polecił jeszcze przyaresztować pamiątkowy numer *Freisinnige Ztng*, która w dzień narodzin nieszczęśliwego monarchy wypuściła wiązankę wspomnień o nim. W zbiorku tym nie było nic przeciwnego prawu, żadnej „zdrady stanu,“ a mimo to uległ konfiskacie. Kanclerz poprostu nie chce, ażeby żyła w narodzie pamięć o Fryderyku III, który pierwszy przygasił nad nim nimbus wielkości. W przyszłym tygodniu odbędą się wybory do sejmu pruskiego, a niezadługo rozpoczną się obrady parlamentarne — ciekawe będą w nich starcia. Postępowcy pod dowództwem Richtera z pewnością rozpoczną gwałtowny atak, a pocisków im nie zbraknie.

Komisya Izby francuskiej nadgryza projekt zmian konstytucyi Floqueta. Projekt ten, oprócz swych twórców, nie zadawala nikogo. Nie podajemy też go w szczegółach, gdyż bez gruntownej przeróbki z narad nie wyjdzie. Boulanger, jak Jowialski, opowiada ciągle swoją bajkę, która coraz wyraźniej rozwija z osłonek myśl rządu niezależnego od przedstawicieli narodu, lecz od samego narodu. Wiemy, co to znaczy.

W Hawrze ktoś zerwał szyld konsulatu niemieckiego. Pomimo że prefekt przeprosił konsula, a minister spraw zagranicznych ambasadora niemieckiego, *Nordd. Allg. Ztng* znowu zwymyślała francuzów, którzy, według niej, zeszli już na najniższy stopień barbarzyństwa i dzikości. A Europa ciągle woli dzikość francuską, niż cywilizacyę niemiecką. Szczególny gust — powiada pan Pindter.

Król Milan, oczyściwszy sąd kościelny z osób mu nieprzyjaznych, otrzymał nareszcie rozwód urzędownie ogłoszony. Ponieważ nie grzeszył on nigdy nadmiarem energii, widocznie opieka polityczna daje mu bardzo stanowcze rady.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KOLONIŚCI.

Niedawno kilka pism obwieściło „pocieszającą“ nowinę: „Koloniści niemieccy umykają tłumnie z Wołynia do ojczyzny.“ Stąd wniosek: „Niedobrze im się tam dziać musi.“ Tymczasem rzeczywistość przedstawia się inaczej. Istotnie, niedawno dwadzieścia kilka rodzin opuściło tamte strony, ale podobno dlatego, że im się *za dobrze* działo. Przed laty dwudziestu przybyła na Wołyń gromadka nędzarzy, wlokąc za sobą wózki z wątłemi dziećmi. Ojcowie rodzin chodzili w drewnianych sandałach, matki — boso, w płóciennych spódniczkach. Dziś jeżdżą ładnemi bryczkami, zaprzężonemi w dzielne konie, mężczyźni w paltach kortowych, w długich butach juchtowych lub lakierowanych; kobiety w sukniach z tiurniurami, w kapeluszach z piórami i kwiatami, w zgrabnych bucikach o wysokich obcasach. Patrzy na to ludność tamtejsza przez lata całe, z podziwu wyjść nie może, bo sama jak chodziła w łapciach, dziurawych butach, wytartych kapeluszach, tak i teraz chodzi; nędzne chabety woziły ich ojców, odżywiających się chudą strawą, dziś — zupełnie to samo. Skąd taka różnica w położeniu przybyszów i tubylców? Oto niemcy, napotkawszy łatwowiernych, kupowali od nich lasy za bezcen, budowali tartaki, świetnie uprawiali grunty po wyciętym lesie, sprowadzając do pomocy coraz więcej pobratymców. Najpiękniejsze drzewa masztowe popłynęły na Bałtyk, a miejscowi za ciężką pracę dostali... pnie i gałęzie. Niemcy bardzo prędko potrafili pozyskać zaufanie i szacunek u tamtejszych obywateli; dostawali więc grunty prawie darmo na czas długi. Gdy krajowiec ubiegał się o posadę w majątku, właściciel uważnie przeglądał świadectwa jego przeszłości. Gdy zaś niemiec o to się starał, nie pytano go o przeszłość i zdolności, lecz chętnie na-

2)

BULANŻYSTA.

Znowu zaczął się zajmować polityką; znowu, strzygąc panów, mówił:

— Źle będzie z prusakiem, źle!..

Każdego zachęcał do noszenia bulanżerowskiej brody.

Damom, które go zagadywały o modę w Paryżu, odpowiadał:

— Teraz będą czesali gładko, nizko i zupełnie prosto, żeby sobie nikt nad głupstwami głowy nie łamał. Każdy myśli o wojnie. Przecież, że się francuz pomiarkował...

W gazetach piszą, że liczba zwolenników generała z każdym dniem wzrasta. Kiedyś donoszą w telegramie: „Wybrany większością głosów do Izby.“ A potem: „Monarchiści się z *nim* łączą...“

Nie, o tem z pewnością nikt nigdy nie marzył!..

Będzie cesarz, będzie wojna!..

Nie wytrzyma: poleci czem prędzej do Paryża...

Zaczął się uczyć na nowo. Napisał sobie świeżą mowę już nie do ministra, ale do cesarza. Wypowiedział w niej gorące swe uczucia: radość i dumę, że tak wielki człowiek wreszcie zwyciężył. Na zakończenie prosił o przyjęcie go do wojska na najprostszego szeregowca.

„Będę bił prusaka — pisał — póki mu z gardła nie wydrzemy zagrabionych prowincyi albo póki dech nie zamrze w mych piersiach...“

Myślał ciągle o bliskiej wojnie, czy to strzygąc panów w zakładzie, czy czesząc damy na mieście, czy też siedząc na górze, przy stole, nad tapirowaniem i układaniem w promienie rozplątanych włosów.

Temu i owemu zwierzył się w tajemnicy z przyszłych swych zamiarów.

Coraz pilniej odkładał pieniądze na podróż. Nie chodził do teatru, ani do cyrku. Unikał dziewczyn. Jadał obiady w taniej kuchni, aby tylko raz już wyjechać...

Kupił sobie parę powieści z opisami Paryża. Wieczorem wczytywał się w nie, nocą śnił, że błądzi po labiryncie ulic i ginie w podziemiach kanałów. Olbrzymie gmachy przytłaczały go. Nieraz nie mógł oddychać. Zrywał się na równe nogi, zapalał świecę i chodził po pokoju boso, w koszuli, żeby ochłonąć z gorąca i przerwać niespokojne majaczenia.

Popularność jego bohatera rośnie z każdym dniem. Piszą o *nim* i gadają wszędzie. W polityce staje się osią, około której skupione są najświeższe wiadomości.

Wszystkiemu musi być jednak koniec.

Gazety, przytaczając mowy generała w Izbie, zaczynają powoli narzekać, że wszystkie kręcą się wkoło i żądają nie wiedzieć czego naraz: rewizyi konstytucyi, plebiscytu, rozwiązania Izby...

Krzyk po pewnym czasie podnosi się coraz większy. Niezadowolenie, jak zaraza, wybucha dokoła; ogarnia kolegów *jego* w parlamencie, buntuje przeciw *niemu* ogół...

Nieprzyjaciel grozi znowu w całej sile...

— Ha cóż, wojak — w polityce na gębę może czasem głupstwo zrobić, ale niech tylko weźmie szablę w rękę — to pokaże wszystkim, co umie. Żaden gryzipiórek *mu* nie sprosta. Będzie drugi Napoleon: przejdzie przez Europę, sprawiedliwość na świecie przywróci...

W marzeniach swych widzi Boulangera, poskramiającego wszystkie dzikie ludy. Słyszy imię jego, brzmiące pod biegunem i pod zwrotnikami...

Czeka i czeka tej chwili, w której pojedzie do *niego*, padnie przed *nim* na kolana i złoży w *jego* ręce całą swoją przyszłość...

W kasie oszczędności ma umieszczonych około 200 rubli.

Co — będzie czekał dłużej? Puści się w podróż. Przecież nie zginie.

Za dwa tygodnie postanowił wyruszyć. Jeszcze tylko odbierze miesięczną pensyę i procent od czesania...

W tem któregoś wieczora czyta o awanturze w Izbie między Floquetem i Boulangerem. Mają walczyć.

W dzień pojedynku nie może usiedzieć na miejscu. Coś go pali. Zdaje mu się, że nie doczeka wieczora. Ranek jest dlań nie-

tychmiast przyjmowano. Tym sposobem mnóstwo przybyszów zajęło naczelne stanowiska w majątkach, gnębiąc podwładnych miejscowych. Niezależnie od tego pęczniały trzosy przedsiębiorców pracujących na własną rękę. Solidarność zaś tak ich wzmocniła, że w wielu majątkach zagarnęli całe etaty i zgoda tam najpiękniejsza panowała pośród rządców, rachmistrzów, pisarzów, dozorców, robotników. Dziś, chociaż warunki znacznie się zmieniły, chociaż ograniczenia skrępowały przybyszów w znacznym stopniu, większość ich nie myśli wcale o ucieczce, bo wie, że wszelkie zmiany ekonomiczno-społeczne przetrwa... naiwność tubylców.

LISTY PETERSBURSKIE.

12 października.

D. 7 października przy wyborach syndyków w parafii św. Katarzyny zdarzyły się nader dziwne rzeczy.

Naprzód na kartkach, które rozdano parafianom (wybranym), nazwiska dwóch kandydatów były wydrukowane maluczkiem kursywem, a dwóch innych dużemi głoskami, przyczem ten, co rozsyłał, raczył niektóre nazwiska podkreślić, jedno zaś wykreślić.

Dalej, gdy zebrano się, po wstępnej mowie przeora adwokat Abr. zawołał: „Wybierzmy prezydującego!—i dodał — p. Czopowskiego.“ Kilka głosów (pięć — z liczby przeszło 400 członków) podtrzymało propozycyę, w tejże chwili ukazał się u stołu p. Cz. i zaczął wstępną mowę.

Gdy przeczytano w streszczeniu sprawozdanie o działalności syndyków, p. Abr. i ci, co go otaczali, rzekli: „Zapisać imiona pp. syndykatów do akt kościelnych na wieczne czasy.“

Pytanie: w jakiej formie ma nastąpić to uwiecznienie? Chyba tak: niniejszym świadczymy, że pp. syndycy użyli sum parafialnych na dobre cele, za co niech im będzie sława przez wsze pokolenia.

Późny potomek, przeglądając kroniki, rzeknie:

— Jednakże ten akt nie nader korzystnie świadczy o ówczesnem społeczeństwie, jeżeli prosta uczciwość wymagała unieśmiertelnienia: pomniki wznoszą ludziom niezwykłym!..

P. Zaborowski w krótkiej i treściwej mowie wypowiedział, że wiele ma zajęć, więc prosi, aby go od obowiązku syndyka uwolniono. Po szmerze głosów w zgromadzeniu można było zauważyć, że wymawiał się napróżno.

Gdy skończył, zebranie zleciło p. prezydującemu, ażeby podziękował syndykom za ich działalność... i chociaż p. Cz. to uskutecznił, adwokat Abr. odezwał się: „Występuję w imieniu parafian, ażeby złożyć nasze uwielbienie“ itd.

Zaczęto pytać siebie wzajem: Co to znaczy? Kto ma prawo mówić od wszystkich—nieproszony?.. I nie bacząc na treść mowy—wcale sympatycznej— liczne głosy zawołały: „Dosyć!..“

P. Abr. rozgniewał się, a chcąc wytłomaczyć swój postępek, rzekł: „ja mówię od swego kółka“ i tym sposobem wyznał, że jest przedstawicielem jakiejś odrębnej gromadki. Zaiste smutny to objaw! Dobrze przynajmniej, że owo kółko nie miało nic wspólnego z tem, co imię p. Zaborowskiego w obwieszczeniu wykreśliło...

Przystąpiono do wyborów; powołani zostali pp.: Zaborowski (169), Łukowski (159), Rudzki (76). Augustynowicz (13).

Taki jest rezultat. Przeglądając go, widzimy, że teraźniejszy system mianowania kandydatów przez władzę kościelną prowadzi do niegrzeczności względem wielce szanownych osób. Bezwątpienia np. p. Aug. tylko na usilne prośby zgodził się wystąpić w roli kandydata — i cóż?.. 13 głosów, jak gdyby na żart!.. A stało się to zapewne tylko dzięki temu, że kandydat szerzej nie jest znanym; gdyby parafianie sami wyznaczali kandydatów, podobny wypadek nie miałby miejsca.

Idealny syndyk, pomimo zwykłej uczciwości (nie zapisanej do kronik) musi być energicznym, kochać społeczeństwo i znać się na rzeczy. Bezwątpienia ludzie świeccy, którzy codzień walczą o byt, lepiej wiedzą, kto z nich lepszy, niż zakonnicy — ludzie oderwani od ziemskiego padołu, od jego zatargów i żądz...

Gdy się wybory ukończyły i zgromadzenie opuściło salę, prezydujący podał kilkunastu pozostałym parafianom spis kandydatów na członków komisyi rewizyjnej, i rzekł: „Komu się nie podoba jakieś nazwisko, niech inne napisze.“

P. Cz. zapewne ani się domyślał, że co innego głosować za kimś, a co innego gotowy spis przerabiać; ludzi niegrzecznych nie wielu się znajdzie. Ten i ów potrzymał listę w ręku i położył na stół.

Natenczas prezydujący rzekł: „Zostawmy byłą komisyę...“ Któż miałby przeciw temu występować, tembardziej, że niektóre imiona mało są znane?

Niekażdy członek komisyi zgodzi się na taki wybór. Jeżeli ktoś pracuje, traci czas i zdrowie dla dobra społecznego, powinien mieć przynajmniej tozadowolenie, że go nie kółko wybrało, że stawał w zaszczytne szranki...

Tu i owdzie rozlegały się głosy: dlaczego w liczbie członków komisyi niema p. Joch?.. P. Cz. rzekł: „Kto żąda niech sam przemawia w tej kwestyi do pozostałych parafian.“

W tej chwili p. Piltz zaproponował, ażeby kandydatów na syndyków, którzy otrzymali mniejszą ilość głosów, zapisać do listy członków komisyi rewizyjnej. Prezydujący ogłosił ów wniosek; natenczas inżenier (a nie doktor, jak powiedziano w *Kraju*) Sz. jął nalegać, ażeby p. Joch. także zapisano.

— A jeżeli odmówi?

— Nie pytaliśmy innych — mogą także odmówić...

Logika zrobiła swoje, p. Joch został zapisany.

Ostatecznie prezydujący sam wyznał przed pozostałymi członkami, że wybory odbyły się bez żadnego porządku i że na przyszłość musimy prosić kościelną władzę o ulepszenie...

Zgadzając się w zupełności z tem przekonaniem, mniemałbym:

1) Dla wywyższenia godności przezydującego, skoro przy obiorze zawczwie go kilka głosów, na przyszłość niech pyta: ażali ma za sobą większość?.. Tym sposobem nie będzie sprawdzało się przysłowie: „Kto pierwszy wziął pałkę — został kapralem.“

2) Niech parafianie a nie kościół wyznaczają kandydatów.

3) Syndyków wybierać balotowaniem, a nie podpisami, jeżeli zaś może być wątpliwość, że w zgromadzeniu nie wszyscy są parafianami — utworzyć naprzód listę zebranych.

4) Członków komisyi, gwoli szacunku dla nich, wybierać tymże sposobem.

5) Poprosić chętnych mówców, by nie objawiali swych osobistych uczuć. Przy-

---

skończenie długi. Południe trwa wieki. Po południu udał chorobę i wyszedł.

Skręcił wprost do redakcyi *Kuryera*. W bramie minął dwóch jakichś jegomościów w podszarzanych ubraniach. Poznał z ruchów, że mówili o polityce, więc przystanął.

Któryś z nich powiada:

— No, i widzisz, cywilus nabrał wojaka. Nadział go sobie na szpadę, jak kurczę na rożen...

Wytężył słuch. Zdawało mu się, że go uszy mylą. A tu rozprawiający do jakiegoś trzeciego, który podszedł do nich z ulicy, powtórzyli kilka razy:

— Tak, tak, Boulanger ciężko ranny; kto wie, czy żyć będzie?..

Dech w nim zamarł. Zachwiał się na nogach. Myślał, że upadnie.

Zebrał wreszcie wszystkie siły i pobiegł czemprędzej w podwórze.

Chłopcy właśnie wychodzili z pakami *Kuryerów*. Najmniejszy z nich podszedł do niego i zawołał piskliwym głosem:

— Awantura arabska bardzo ciekawa; z pana Boulangera potrawa...

— Łżesz, gałganie — krzyknął, chwytając malca za kołnierz.

— Co pan się rozbijasz? Czego pan chcesz odemnie? Kup pan *Kuryera*, to się przekonasz...

Drżącą ręką wyjął dziesiątkę z kieszeni, porwał dziennik i przeczytał czarne na białem straszną wiadomość.

Już mu się nie chciało wracać do domu. Co będzie robił? O czem będzie myślał? Wojak — i tak się shańbił!

Nie, *on* chyba nigdy nie umiał szpady utrzymać w ręku! Pierwszy lepszy cywilus przewiercił mu gardziel. Co za srom, co za upodlenie!

Chyba *on* był aktorem i tylko udawał żołnierza!..

Nie będzie miał wstydu w oczach, jeżeli się jeszcze kiedy w życiu pokaże przed narodem!

Jak się wyleczy i zostanie jeszcze przy życiu, to powinien uciec gdzie daleko, żeby już nikt o nim nie słyszał!..

Chodził po ulicy tam i napowrót, potrącany przez tłum, nie patrząc na nikogo i nie słysząc hałasu przejeżdżających dorożek i tramwajów.

Wrócił już późno. Zmęczony chodzeniem, zgryziony żalem, padł na łóżko, jak kłoda drzewa i zasnął.

Po raz pierwszy oddawna nic mu się nie majaczyło.

Spał mocno. Od czasu do czasu tylko ciężkie westchnienie rozrywało mu piersi.

Przewracał się wówczas na bok, nasuwał kołdrę na uszy i spał dalej.

Rano wstał odurzony. Nie pamiętał zupełnie dnia wczorajszego. Zdawało mu się, że przeleżał trzy dni i trzy noce.

Spojrzał na fotografię nad łóżkiem. To go oprzytomniło.

Zerwał się, zdarł ją, podeptał nogami i rzucił w śmiecie.

Już nie miał o czem myśleć na górze przy pleceniu warkoczy i układaniu grzywek damskich.

Koledzy wyśmiewali się z niego.

Znajomi panowie, wchodząc, mówili:

— No i cóż, źle z pańskim generałem: zbłaźnił się!..

Jego aż w gardle ściskało.

Wstyd mu było, że takiego dudka czcił tyle czasu, że go wielbił, jak drugiego Napoleona.

— Tak się zawieść, to już trudno drugi raz komu na świecie uwierzyć...

Nie brał *Kuryera* do ręki. Zobojętniał dla polityki. Wieczorami coraz dłużej wałęsał się po ulicy, bo i po co miał przychodzić do domu?

Nic go tam nie czekało.

Lekcyj zaprzestał. Gazet nie kupował.

Smutno mu było i ciężko, a nie miał się przed kim wyżalić.

Koledzy nie chcieli go nigdy wysłuchać. Jak tylko zaczął mówić, wołali zaraz: „już wyjeżdża ze swoim generałem...“ A kiedy się skarżył na zawód, jaki go spotkał, odpowiadali mu: „dmuchaj na wszystko: kiep ten, co się smuci.“ I nie dawali mu skończyć.

Gość nie każdy zagadywał. Zresztą — jak tu komu przez kwadrans opowiedzieć wszystko?..

puśćmy, że uczucia sprawiają wrażenie rozrzewniające, lecz dla ekonomii czasu lepiej będzie, jeżeli grzecznostki będą się mówiły po za zgromadzeniem.

5) Nie zapisywać do kronik dowodów działalności syndyków, bo tym sposobem rzuca się mimowolnie cień na działanie ich poprzedników; a wiadomo, że byli i tacy, co niemniej zrobili.

Cyfr ze Sprawozdania nie wypisujemy, gdyż one dla czytelników *Prawdy* nie miałyby tego znaczenia, które posiadają dla członków parafii tutejszej.

N. B.

SPRAWY EKONOMICZNE.

OBECNY KURS RUBLA.

Stoimy wobec rzeczywistej niespodzianki. Ruble, jeszcze w końcu marca notowano na giełdzie berlińskiej zaledwie według kursu 160 (tj. 160 marek za 100 rs.) — tak nizkiego, że nie widziano go nawet podczas wojny rusko-tureckiej; tymczasem po kilku miesiącach, tj. obecnie, doszły one prawie do 220 — wysokości od bardzo wielu lat niepamiętnej. Zbyteczna dodawać, iż taki stan rzeczy, jeżeli utrwali się na stałe, wywoła ważne zmiany ekonomiczne. Przedewszystkiem zadałby on silny cios polityce ceł ochronnych. Bo podwyższenie wartości rubla papierowego oznacza zniżenie skali taryfowej. Państwo, chcąc utrzymać skuteczność dotychczasowej polityki ekonomiczno-opiekuńczej, musi wobec tego pójść dalej w obranym kierunku — zwiększaniu opłat przywozowych. Nawet już obecnie dzienniki zaznaczają, że napływ towarów zagranicznych wzrósł znacznie w ostatnich czasach i wymaga pomnożenia straży celnej. Z drugiej strony, jeżeli ukształtowanie stosunków na międzynarodowym rynku zbożowym nie ulegnie zmianie, wyższy kurs rubla, wywołując niższe ceny zboża, może odbić się bardzo niekorzystnie na położeniu właścicieli ziemskich. Zobowiązania, zaciągnięte przy niższym kursie, wypadnie zaspakajać przy wyższym, to jest sprzedawać więcej wytworu, niż dawniej, dla uczynienia zadość tym samym ciężarom. O zaburzeniach mniej lub więcej czasowych, związanych z okresem przejściowym podnoszenia się wartości rubla papierowego, już nie mówimy. Zauważymy tylko, iż wartość towarów zależy od warunków, nic zgoła niemających do czynienia z kursem rubla; odpowiednio z wahaniami tego ostatniego zmienia się jedynie pieniężne wyrażenie wartości — cena. Naturalnym więc skutkiem podwyżki kursu rublowego musi być stanienie przedmiotów. Odniosą więc z tego stałą korzyść warstwy społeczne, które zdobywają sobie utrzymanie z zarobku określonego przez tradycyę i inne podobnego rodzaju warunki (np. „rubel" dawany lekarzom); czasową zaś — żyjące z zarobku, podległego współzawodnictwu i zależnego od wysokości organicznych potrzeb (np. płaca najemników).

Gdzież jednak poszukiwać źródeł tej niespodziewanej a zaiste olbrzymiej zwyżki? Wyznamy otwarcie, iż mimo uważnego rozglądania się w rzeczy, dotychczas jeszcze nie jesteśmy w stanie rozwikłania tego splotu okoliczności, które złożyły się na ten objaw, ani wskazania chociażby tych, którym w tej mierze przypadła najważniejsza rola. Jedno tylko możemy powiedzieć, że, wobec szybkości a nieoczekiwania zwyżki, niepodobna w tym objawie widzieć rezultatu jakiejś celowo ku temu skierowanej działalności. Przeciwnie, cała sprawa szła żywiołowo, jakby szydząc z tego natłoku projektów, które powołani i niepowołani przedstawili pod rozpatrzenie ministerstwa finansów — projektów, obiecujących osiągnięcie podwyżki, zyskanej niespodziewanie w ciągu kilku miesięcy, dopiero po upływie wielu lat. W każdym razie sprobujemy rozpatrzeć się chociaż cokolwiek w obecnem położeniu. Niektórzy, zwłaszcza w początkach zwyżki, usiłowali związać to zjawisko z „wypogodzeniem się" widnokręgu politycznego. Bezwarunkowo, nadzieja bliższej wojny może bardzo zaważyć na kursie pieniędzy papierowych, rodzi bowiem możliwość nowych emisyj papierowych bez odpowiedniego pokrycia kruszcowego. W gruncie jednak rzeczy, ułożenie stosunków politycznych, chociażby jaknajkorzystniejsze (czego zresztą w rozbieranym przypadku niema), nigdy i w żaden sposób nie zdoła wywołać tak wielkiego a nagłego podskoczenia kursu, jak obecne. Co najwyżej, stanowi ono warunek, sprzyjający działalności innych czynników w kierunku zwyżki. Podobne znaczenie posiada i spekulacya giełdowa. Że pogłoski postrachowe mogą spowodować wielką zniżkę, najzupełniej wierzymy; na poparcie tego dość przypomnieć zeszłoroczną krucyatę półurzędowych organów niemieckich przeciw papierom ruskim wraz z jej następstwami. Jeszcze więcej skuteczną bywa spekulacya giełdowa w okresach zwyżki — dość przytoczyć kursy, do których dochodzą akcye niektórych stowarzyszeń prywatnych. Atoli przy ocenianiu wpływów spekulacyi nie należy nigdy zapominać o jednem: działają one i działać mogą tylko na gruncie już przygotowanym. Nikt nie weźmie się do spekulacyi, jeżeli nie posiada zaufania, iż nabywane lub sprzedawane papiery pójdą w spodziewanym kierunku. Spekulacya może wyśrubować do krańców dążności zwyżki lub zniżki — ale już istniejące. Niepodobna więc objaśniać obecnego objawu ekonomicznego takimi względami. Dziwnem zaiste byłoby zjawiskiem spekulowanie na zwyżkę rubla, gdyby inne warunki parły w stronę przeciwną! Poszukując źródeł faktu, stoją już bliżej prawdy ci, którzy upatrują przyczynę w korzystnym dla Rosyi tegorocznym układzie bilansów handlowych. Mianowicie okazuje się, iż kiedy wartość tegorocznego przywozu za okres od 1 stycznia do 1 sierpnia zmniejszyła się blizko o milion rubli w porównaniu z przywozem zeszłorocznym za taki sam przeciąg czasu, tymczasem wartość wywozu za ten sam peryod w obecnym roku jest większą o 187 milionów rubli *). Różnica pomiędzy wartościami wywozu a przywozu za wymieniony okres wynosiła w przeszłym roku około 44 mil. rubli, w obecnym wzrosła do 230 mil. W jakim jednak stosunku znajduje się ta okoliczność ze zwyżką rubla? Otóż twierdzą, iż ponieważ nabywcy zagraniczni muszą uiszczać różnicę już bezpośrednio w papierach i wekslach ruskich, już zapomocą przekazów na miejsca zagraniczne, lecz ostatecznie również zamienianych na ruskie, przeto z jej wzrostem wzmaga się i zapotrzebowanie na ruble, w ciągu dalszym podnosi się zaufanie ku nim i pociąga za sobą zwyżkę. Są jeszcze jednak i inne przyczyny. Wiadomo, że papiery państwowe tylko dlatego krążą jako pieniądze, ponieważ państwo zabezpiecza je na

*) Bierzemy cyfry okrągłe.

Któregoś dnia wszedł do zakładu pan Y., ten sam, którego on przed rokiem namówił na noszenie bulanżerowskiej brody.

Zobaczywszy go, chciał uciec. Wstyd mu było stanąć przed nim.

Pan Y. jednak zatrzymał go.

— Ostrzyż no mię pan tak, jak zawsze— rzekł, siadając przed lustrem między dwoma oknami.

Ukłonił mu się nizko, okrył go białą peleryną, zrobił kilka cięć nożycami w powietrzu i powoli, nachyliwszy się, zaczął podcinać włosy z tyłu głowy.

Milczenie zalegało pokój. Pan Y. otrząsał się od czasu do czasu na duszący zapach *ylang-ylangów* i *millefleurów*, powstawianych we flaszeczkach za szyby oszklonych półek. To znowu, podnosząc rękę i dotykając palcami tłuszczowego guza po lewej stronie nad uchem, dodawał:

— Tylko z tem ostrożnie! Zakryj to pan, a nie skalecz!..

Skończył już z głową. Musiał przejść do brody.

Stanął, wahając się.

— Ostrzyż pan, jak zwykle...

Rozczesał włos najpierw grzebieniem, potem wziął nożyce w rękę i znowu się zawahał.

— Cóż u kroćset, strzyż pan raz nakoniec!

Zrobił kilka cięć nożycami i przestał. Wreszcie kłaniając się niezręcznie, rzekł takim głosem, jakby mu w gardle coś uwięzło:

— Proszę pana dobrodzieja, ja chciałem powiedzieć panu dobrodziejowi, że człowiek z honorem nie powinien nosić teraz takiej brody, jak tamten... Lepsza już broda tego śpiewaka i więcej w niej panu dobrodziejowi będzie do twarzy...

— Strzyż pan już, jak chcesz. Nie mam czasu. Za dziesięć minut muszę być u rejenta.

Ostry szpic *à la* Mierzwiński już był do połowy zrobiony. Wykończając go, młody operator wzdychał, kiwał głową z rozżaleniem, jak gdyby sobie myślał w tej chwili:

— Kochałem kiedyś tego człowieka; bardzo wiele spodziewałem się od niego, a on mię tak strasznie zawiódł i skompromitował...

Pan Y. spoglądał co chwila na zegarek, tupiąc nogą z niecierpliwienia.

Wreszcie, nie doczekawszy się ostatniego cięcia i wygładzenia brody, zerwał się z krzesła, zrzucił pelerynę, cisnął czterdzieści kopiejek na konsolę przed lustrem, wziął kapelusz i wybiegł.

— Cóż tak stoisz i gapisz się? — zawołał „stary," podchodząc do okna, przy którem Stefan stał od kilku minut, wpatrzony w ciemne loki lalki, umieszczonej na wystawie i w całe szeregi mydeł, mydełek, flaszeczek; — dalej, rusz się!..

Drgnął, jakby ze snu zbudzony. Westchnął ciężko i wziął się do roboty.

Strząsnął włosy z peleryny, złożył ją i powiesił na kołku. Zawołał chłopca, kazał mu zamieść pokój, zebrał pieniądze z konsoli, oddał część ich do sklepu, resztę sobie zostawił i poszedł na górę.

Dławił go żal niewypowiedziany. Potrzebował dziś poskarżyć się przed kimś. Aż mu było duszno z tej chęci.

Spróbował jeszcze raz pomówić z kolegami.

— Zły porządek na świecie — odezwał się do siedzącego przy nim Alfreda— niema komu wierzyć...

Chciał coś jeszcze dodać, ale śmiech ogólny przerwał mu słowa.

— Stuknij się w pałkę — zawołał Karol — a zobaczysz, że ci niepotrzebny ćwiek tam siedzi.

— Trzeba mu z niej wytrząsnąć tego generała — dorzucił Antoni.

Wszyscy trzej zerwali się z krzeseł i zaczęli go szarpać za głowę i za ramiona.

— Pan Stefan — zawołano z dołu przez tubę.

Jakaś znajoma dama zażądała go do podcięcia włosów.

Po skończonej operacyi, przy wręczaniu pieniędzy zapytała z uśmiechem:

— Będzie pokój, czy wojna?

Chciał jej odpowiedzieć, wynurzyć przed nią część żalu zawiedzionych nadziei. Zaledwie jednak zdążył kiwnąć ręką zniechęcająco, gdy już go wezwano do drugiej damy, której miał ufryzować grzywkę.

kruszcu szlachetnym, złożonym w skarbcu; publiczność zaś przekonywa się o tem wskutek istnienia wymiany papierów na złoto lub srebro w kasie państwowej i dzięki równoczesnemu obiegowi wszelkiego rodzaju pieniędzy — papierów i monet ze szlachetnego metalu. Bank państwowy ruski posiada w kasie około 210 mil. rubli w złocie i przeszło milion w srebrze, tymczasem gdy wartość wypuszczonych rubli papierowych przewyższa nieco sumę 780 mil. Że suma papierów jest większą od zabezpieczenia kruszcowego, nie ma to zbyt wielkiego znaczenia, gdyż praktyka wykazała, iż, jeszcze przy stosunku wzajemnym jednej do drugiego jak 2:1, kasa państwa jest w stanie zaspokoić wszystkie zgłoszenia wypłaty, jeżeli tylko masy papierów nie przewyższają potrzeb rynku handlowo - przemysłowego. Tymczasem w Rosyi stosunek ów przedstawia się niżej najniższego, wymaganego przez praktykę, a nadto pieniędzy papierowych krąży więcej, niż wymagają potrzeby rynkowe. Względy te skłoniły kasę państwową do utrudnienia wymiany papierów. W lipcu obecnego roku wypuszczono nową emisyę, 15 milionową, z jednoczesnem włożeniem do kasy Banku państwowego odpowiedniego zasobu kruszcowego. Wskutek tego stosunek funduszów poręczających do kursującej sumy papierowej wzrósł korzystnie i mógł wywołać zwiększenie zaufania za granicą ku rublom papierowym; w tym kierunku być może podziałał i Najwyższy ukaz (z 20 lipca), przepisujący, iż nadal każdą nową emisyę zabezpieczać się będzie kruszcem takiejże wartości. Wreszcie w szeregu powodów wzbudzających zaufanie wypada nadmienić o stosunkowo korzystnym stanie budżetu za pierwsze półrocze 1888. Niedobór przeszłoroczny z tego okresu wynosi blizko 43, tegoroczny jedynie 19 mil. To pozwala mniemać, iż jeszcze lepszy stosunek da się osiągnąć i na przyszłość.

Wyliczyliśmy i oceniliśmy wszystkie możliwe przyczyny, zapomocą których usiłują wytłomaczyć obecną zwyżkę. Cóż widzimy? Wyjaśnienie widnokręgów politycznych jedynie znosi zawady na drodze dodatniemu działaniu innych czynników; spekulacya może wyszrubować kurs do góry, lecz jeżeli posiada jaką taką pewność, iż zwyżka odbywałaby się i bez niej; korzystny bilans zwiększa zapotrzebowanie na rubla, lecz nie może podnieść go zbyt wysoko, gdyż nie daje najmniejszej rękojmi co do kursu na przyszłość i nie zwiększa zabezpieczenia wartości rublowej. Nadzieje pokojowe mogły przygotować grunt; korzystny bilans handlowy był w stanie wywołania pewnej zwyżki i otwarcia nadziei na większą w przyszłości; wkład 15-milionowego zasobu kruszcowego, przepisy Najwyższego ukazu i powierzchownie dodatni budżet, mogły wzbudzić jeszcze większe zaufanie, widoki na korzystny przyszłoroczny bilans handlowy pchnąć je nieco dalej. W końcu, spekulacya giełdowa, widząc szanse zwyżki, mogła przyłożyć rękę ku jej wyszrubowaniu. Wszystko to możliwe, ale okoliczności ułożyły się tak, iż nie pozwalają nie stanowczego wyrzec o stosunkowem znaczeniu każdego poszczególnego czynnika i tem samem o dalszych losach kursu. Jeden z nich, korzystny bilans handlowy, daje nadzieję, iż ułoży się odpowiednio i w przyszłym roku. Zależy on mianowicie od wywozu zboża; urodzaje bowiem w Europie nie dopisały w tym roku, Ameryka nie rozszerzyła zmniejszonej przed kilku laty uprawy — Rosyi więc główne wypadnie zadanie pokrycia niedoborów. Z jakichkolwiek jednak powodów wynikła obecna zwyżka, daje ona niejaką możność wprowadzenia finansów ruskich na drogę skutecznych reform i polepszenia gospodarstwa finansowego.

Lecz zwyżka rubla papierowego wywiązała nową kwestyę, o której dotychczas zgoła nie mówiono. Jak dalece może podnieść się kurs rubla? Otóż okazuje się, iż prawie już doszedł do swego maximum. Mianowicie państwo jest zobowiązane jedynie do wymiany rubla papierowego na srebrny. Tymczasem w ostatnich czasach wartość srebra, wskutek niesłychanego wzrostu jego dobywania, spadła bardzo znacznie, tak, iż przepisany prawem rubel srebrny jest wart obecnie jedynie 236 fenigów (zauważymy, iż giełda berlińska ocenia go tylko na 222½ f.). Ponieważ kurs rubla papierowego dochodzi już teraz 219 i nawet 220, stoimy przeto u kresu jego zwyżki. Już ta okoliczność, iż każdy poddany ruski za złożeniem odpowiedniej sumy metalowej i opłaceniem kosztów, ma prawo żądać u mennicy państwowej wybicia stosownej ilości monety, staje na zawadzie dalszej zwyżce pieniędzy papierowych. W razie bowiem przekroczenia przez rubel papierowy tej granicy, prywatne osoby będą wnosiły do mennicy kwoty kruszcowe i czyniły wypłaty w rublach srebrnych niższej wartości, zamiast w papierowych — wyższej. Wskutek tego kurs tych ostatnich zniży się pod wskazaną granicę. Co więcej jeszcze. Ponieważ srebro w ostatnich czasach odbywa silne wahania pod względem wartości i wykazuje tendencyę ku dalszej zniżce, może i musi sprowadzić odpowiednie zmiany w kursie rubla papierowego, gdyby państwu udało się postawić ten ostatni na równi ze srebrnym pod względem wartości. Zwyżka więc obecna sprowadza nową kwestyę — usunięcie bimetalizmu i oparcia papierów państwowych na jednym tylko kruszcu — złocie.

L.

Cały wieczór, strzygąc, goląc i czesząc, wzdychał ciężko. Coraz mu było smutniej.

Ostatni gość wyszedł już wreszcie z zakładu. Pogaszono światła. Zaryglowano drzwi sklepowe. Koledzy porozbiegali się każdy w swoją stronę.

On—przesunął się, jak cień, przez jedną, drugą i trzecią ulicę...

Potrzeba mówienia rozsadzała mu piersi. Zdawało mu się, że zwarjuje, jeżeli nie wygada się dziś przed kim.

Żal go trawił. Tyle go się nałykał, a nikomu nie nie powiedział; nie ulżył sercu...

Zatrzymywał się przed sklepami, patrząc na błyszczące w świetle wystaw przedmioty. Odchodził i czegoś szukał; sam nie wiedział, czego?

Wreszcie na skręcie jednej z ulic spotkał Tomka, idącego wprost z fabryki do knajpy.

— Chodź ze mną! — zawołał tamten na niego.

Zawahał się chwilę. W końcu poszedł.

Wróciwszy nad ranem, rozweselony, ze świecącemi oczami, z czerwonemi plamami na spuchniętych policzkach, dał słowo Tomkowi, że przepiją razem odłożone na podróż pieniądze.

Padli sobie w objęcia i, zataczając się na środek pokoju, wołali ochrypłym głosem:

— My bracia, przyjaciele! Kiep ten, co się smuci!..

Cecylia Walewska.

PROPINACYE GALICYJSKIE.

We Lwowie długo oczekiwany wiec nareszcie przyszedł do skutku. Czy zbada on należycie olbrzymi nawał spraw w ograniczonym czasie, rzecz bardzo wątpliwa. Na pierwszym planie stanęły propinacye. Projekt rządowy oparty jest na zasadzie natychmiastowego i zupełnego wykupu ich za pomocą funduszów z udzielonego przez skarb miliona do r. 1910, z dochodu propinacyi do tegoż czasu i z sum uzyskanych na powyższy cel według ustawy z r. 1877 (w przybliżeniu 5 milionów rocznie), aż do zupełnego umorzenia pożyczki, którą zaciągnie kraj. Obrachunek wynagrodzeń nastąpi według ustawy z r. 1877, wypłata kapitału w całości 1891 r. Od chwili zastosowania ustawy aż do r. 1910 ciągnąłby kraj dochody z prawa propinacyjnego. Po tym czasie prawo to (z zastrzeżonym w ustawie szynkiem) zanikłoby zupełnie. Zajrzyjmy do przeszłości. Propinacye należały niegdyś do monarchów, potem przeszły na ludzi pojedynczych lub gromady. Polskie ustawodawstwo nie uważało ich za prawo, tylko za przywilej. Po miastach wszakże zyskały znaczenie prawa prywatnego. Różne rozporządzenia z czasów polskich lub austryackich wielce je osłabiły, a następnie w r. 1848 zadały im cios śmiertelny. Ustawą krajową z r. 1875 pozostawiono dawnych właścicieli w użytkowaniu na lat 26 (do końca r. 1910) i uznano wieczne posiadanie jednego szynku realnego z tytułu prawa własności prywatnej. Obecnie interesowani domagają się, aby prawo propinacyi razem z tym szynkiem było zniesione za sprawiedliwem wynagrodzeniem. Nadto wiec kładzie nacisk na dwa wielce ważne punkty: protestuje przeciw wszelkim projektom i ustawom, któreby obciążały kraj jakimbądź sposobem, a względnie fundusz krajowy w sprawie wykupu propinacyj. Na projekt rządowy nastąpiłaby zgoda, o ile by możliwych niedoborów nie pokrywał fundusz krajowy, lecz podatek konsumcyjny. W końcu wiec wzywa wszystkich szczerych patryotów, iżby zakładali i rozszerzali bractwa trzeźwości i czytelnie, które mają być jedynym sposobem ochrony kraju przed dalszą ruiną materyalną.

WYSTAWA PARYSKA.

Przyszła wystawa paryska poruszyła już i u nas sfery interesowane. Biuro przedstawicieli wystawców ruskich w Petersburgu odniosło się do warszawskiego oddziału Tow. popierania przemysłu i handlu z prośbą o zajęcie się sprawą udziału przemysłowców z Królestwa. Zarząd, uważając biuro petersburskie za instytucyę prywatną, opartą na zyskach z pośrednictwa, nie przyjął wniosku, lecz zgodził się na wezwanie przemysłowców dla porozumienia się. Odbyto naradę. Zarząd Towarzystwa nie zachęcał wcale do uczestniczenia w wystawie, ze względu na zastój w przemyśle, wątpliwość co do możności zawiązania stosunków z nabywcami francuzkimi i koszty wielkie. Tę obawę i ostrożność nie wszyscy przemysłowcy podzielają, to też już dwunastu przyrzekło udział, tem bardziej, że drogi żelazne zapewniły ulgi dla przewozu okazów. W razie ich sprzedania zwracać będą rubla przy opłacie przewozowej trzech rubli od puda. Uchwalono dotąd, że ci przemysłowcy, co zechcą uczestniczyć w wystawie, wybiorą swego przedstawiciela, który będzie w imieniu wszystkich układał się bezpośrednio z biurem petersburskiem.

WYSTAWA KIJOWSKA.

W Kijowie otwarto wystawę nasion, maszyn i płodów rolniczych. Urządzono ją pospiesznie i w ten sposób, że nie daje dokładnego obrazu bogactwa kraju tamtejszego. Nie jest to w zupełności wina komitetu. Kraj południowo-zachodni wogóle nie odznacza się rolnictwem postępowem, a przytem hodowla inwentarza stoi bardzo nizko wskutek prawie nieustającego księgosuszu; nie opłaca się zresztą ona i z tego powodu, iż ziemia pod pługiem większe daje dochody, niż pod pastwiskiem. Gospodarstwa zaś są traktowane jako fabryki zboża i buraków. Błysnęli tu tylko pięknymi okazami zamożniejsi, u których obfitość środków i dokonałość gruntów zastępuje najnowsze wymagania w przemyśle rolnym. Mniejsi wytwórcy zniknęli w powodzi nasion i piwa hr. Branickiej z Białej Cerkwi. P. Modzelewski z Medwedówki (pow. kaniowski) obok wielkiego zbioru nasion, wystawił... wszystkie swe listy pochwalne i dyplomy na medale. Humańska szkoła gospodarstwa

i ogrodnictwa popisała się ładnymi owocami. Hr. Ledóchowska z Puchaczewa jest przedstawicielką wzorowo prowadzonego jedwabnictwa. Nawet „Złoty ul“ z Warszawy poszukuje popularności nad Dnieprem.

LOSY OJCOWA.

Kilka, czy kilkanaście tygodni temu, pisałem o zagrożonym stanie Ojcowa. Odtąd nie przestawały rozchodzić się wieści niepokojące. Obecnie dochodzą nas wyjaśnienia prawdziwe. Margrabia Gordon, dla uregulowania wierzytelności, powstałych z nabycia dóbr ojcowskich, sprzedał część lasu—300 z ogólnej przestrzeni 1,200 morgów i chociaż miał do tego „bezwzględne prawo,“ łaskawie uwzględnił miejscowe warunki, oddzielając do wycięcia las najbardziej oddalony od Doliny Ojcowa. Przestrzeń sprzedana ma być po systematycznem wycięciu zadrzewiona. Po za tem ani jedna sztuka drzewa podobno nie została ścięta, prócz wywróconych przez burzę, a w przyszłości pozostały las ma być podzielony na poręby. Przyjaciele nowonabywcy zasłaniają go tem, że w niektórych miejscowościach ponad doliną włościanie otrzymali las za służebności i miejsca te zamieniają na pola. Układy owe porobione były — jak twierdzą — gdy w Ojcowie prowadzili gospodarkę niemcy. Z zasług p. Gordona podnoszą i tę, że po nabyciu dóbr miejsca powycinane przez dawnych właścicieli niemców, pozadrzewiał i... pobudował wille.

Drogomir.

BADANIA NAUKOWE.

MASZYNA ROBOTNICZA.

Gdyby zażądano odemnie określenia, czem jest hygiena, odparłbym bez najmniejszego wahania: snuciem mrzonek. Jakiś hygienista angielski wypracował szczegółowy i drobiazgowy projekt idealnego miasta Hygei, w którem, po urzeczywistnieniu wszystkich wskazówek sanitarnych, śmiertelność doprowadzonoby do możliwie nizkiego stopnia; inny, amerykanin, zachęcony przykładem anglika, a opierając się na fakcie, że obyczajność znajduje się w ścisłej zależności od dobrobytu i zdrowia mieszkańców, zbudował teoretycznie Etykę — podobnież miasto idealne, lecz nieznające już zbrodni i występku. W obu pomysłach zestawiono wszystkie zdobycze nauki o zdrowotności i jednocześnie wypowiedziano ostateczny jej cel — przewodniczenia wszystkim krokom istoty ludzkiej, ażeby życie wolnem było od chorób, możliwie długiem i przyjemnem. Niestety jednak, rzeczywistość nie pyta się o to, co jest z pożytkiem, a co ze szkodą dla człowieka. Nauka waży, mierzy, oblicza i wreszcie z nagromadzonego materyału faktycznego wysuwa wskazówki postępowania hygienicznego, lecz wszystkie udzielane rady pryskają jako bańka mydlana przy zetknięciu się z życiem realnem. Zaledwie drobna garstka ogółu może posłuchać tego głosu.

Zatrzymajmy się nieco bliżej nad częścią hygieny, traktującą o racyonalnem odżywianiu się w wypadku pracy fizycznej. Przedewszystkiem należy zauważyć, iż wogóle człowiek przedstawia żywą maszynę, która wykonywa bezustannie jakieś roboty mechaniczne zapomocą swych tkanek — chociażby chodzenia, trawienia, myślenia. Już z tego powodu — że pominiemy sprawę rośnięcia — organizm jego wymaga ciągłego dopływu energii z zewnątrz. Przyjmuje ją w postaci pokarmów. Atoli nie wszystkie substancye spożywcze wywiązują się jednako z tego zadania. Zrozumiemy to łatwo, jeśli uwzględnimy, że samo przyswajanie przez organizm pokarmów, w celu otrzymania z nich pewnej sumy energii, przedstawia również robotę mechaniczną, wymagającą zużytkowania różnego wysiłku stosownie do jakości przyjętych środków spożywczych. Tak, ażeby ze spożycia kartofli organizm mógł otrzymać tę samą ilość węglowodanów, co z zużytkowania 896 granów ryżu, winien spożyć blizko 4 razy większą masę — mianowicie 3,124 gr. W obu razach mamy do czynienia z tym samym ostatecznym wynikiem — otrzymaną ilością 328 gr. węglowodanów, jednakże wydatki, poniesione przez organizm dla osiągnięcia tego celu, przedstawiają się odmiennie w każdym wypadku. Przypuśćmy, iż spożywający poświęca się pracy umysłowej. W jakiejś szczególnej chwili organizm rozporządza jedynie określoną sumą energii. W wypadku jedzenia — np. zamiast ryżu — kartofli, większa jej ilość, aniżeli w przeciwnym razie, zostaje obróconą na otrzymanie z pokarmu odpowiedniej masy substancyj pożywnych. Wskutek tego praca umysłowa musi doznać większego osłabienia — w mózgu znajduje się, że tak powiemy, mniej materyału wprawiającego maszynę w ruch. Huizing przeprowadził podobne porównanie co do pracy fizycznej. Podczas roboty w mięśniach odbywa się palenie węglowodanów (tj. utlenianie). Wskutek tego zostaje oswobodzoną pewna ilość energii, idąca na pracę zewnętrzną. Mięśnie są tu więc maszyną parową, węglowodany — materyałem opałowym, wyswabadzającym energię dla poruszania jej. Ilość dokonanej pracy znajduje się w pewnej zależności od zyskanej przez organizm sumy węglowodanów. Lecz, jak wiemy, skuteczność i działalność maszyny zawisły jeszcze od jej budowy (wytrzymałości itd.). Podobnąż rolę w organizmie ludzkim odgrywa objętość mięśniowa — im jest większą (tj. im znaczniejszem jest nagromadzenie ciał białkowych), tem skuteczniej mięśnie mogą działać. Dochodzimy w ten sposób do następującego uogólnienia: robotnik fizyczny jest maszyną, tem wytrzymalszą i zdolniejszą do większego napięcia, im mięśnie (to jest nagromadzenie białka) bogatszą przedstawiają zawartość, i wykonującą tem więcej zewnętrznej roboty, im znaczniejszą jest suma żywiołów węglowodanowych do spalenia w mięśniach. Jak już wiemy, nie wszystkie pokarmy z jednakową łatwością są obracane na substancye niezbędne organizmowi do jego czynności. Słowem, tegoczesna hygiena zbudowała całą racyonalną teoryę dla utrzymania w dobrym stanie i użytkowania maszyny roboczej ludzkiej, podobnież jak istnieją teorye mechaniczne dla sztucznej, parowej. Zachodzi jednak pewna różnica, bardzo zasadnicza: wywody hygieny w tym względzie, jak i wiele innych jej wskazówek, istnieją tylko — na papierze. Nauka wyliczyła drobiazgowo, ile i jakich pokarmów potrzebuje organizm pracującego dla wydajnej działalności fizycznej bez nadużycia zdrowia. Uczynienie wszakże zadość wszelkim tym radom zależy nie od dobrej woli człowieka. Prawa, rządzące ekonomicznymi warunkami pracy, dbają tylko o jedno — iżby zakupiona siła robocza przyniosła za najtańszą płacę możliwie najwięcej wytworu. Oddzielna taka siła może jutro umrzeć z wycieńczenia — znajdą się inne. Wskazówki nauki hygienicznej mogą służyć w tej mierze tylko ku jednemu: być skalą, pozwalającą na wymierzenie nieracyonalnego obchodzenia się z maszyną ludzką. Ostatecznie, mamy przed sobą kwestyę, przedstawiającą jedynie interes teoretyczny.

Obecnie właśnie inspektor fabrycznego okręgu w Królestwie, p. W. W. Światłowskij, ogłosił garstkę faktów, pozwalających sądzić o odpowiedniości odżywiania się naszych robotników. Przyłożymy tu skalę, ułożoną przez hygienę. Poprzednio jednak rzekniemy słów kilka o samej pracy *). Doznaliśmy, po przeczytaniu jej, niejakiego rozczarowania. Nagłówek obiecuje, iż broszurka mówić będzie o odżywianiu się naszego robotnika, wówczas gdy temu przedmiotowi poświęcono zaledwie niecałą trzecią część i uczyniono to jeszcze bardzo powierzchownie. Autor zebrał dane co do 78 rodzin robotniczych, obejmujących ogółem 680 osób. Lecz postępował bardzo jednostronnie, gdyż materyał faktyczny dotyczy przeważnie pracujących w cukrowniach i nadto kilku rodzin tkaczów. Tymczasem w rzeczywistości przemysł cukrowniczy nie zajmuje wcale pierwszorzędnego stanowiska i przytem nosi na sobie szczególne piętno — osiadł na wsi i przedstawia warunki robotnicze, nader odmienne od miejskich. Wobec tego, z danych p. S. możemy co najwyżej wnioskować o położeniu najmitów z cukrowni. Inspektor fabryczny z zapytaniami zwracał się do rodzin robotniczych, wskazanych przez kierujących zakładem, jako wzory trzeźwości, oszczędności i pracowitości. Zresztą w książeczce swej drobiazgowo podał budżet tylko dwu rodzin, być może dlatego, iż uważa je za zupełnie wyraźnie przedstawiające stan rzeczy. Przypatrzmy się im bliżej.

Rodzina z 4 osób. Ojciec wraz z 18-letnim synem pracuje przez 324 dni w roku po 12 godzin dziennie. Dochód roczny wynosi 241 rs. (kopiejki wszędzie opuszczamy). Mieszkanie i opał darmo. Chowają krowę. Na pokarmy spożywcze rocznie wychodzi 58% dochodu, tj. 142 rs. Piją kawę dwa razy dziennie (funt cukru tygodniowo). Mięso bywa dwa razy na tydzień — dwa funty w niedziele i półtora w czwartki. Chleb odgrywa ogromną rolę, wychodzi go tygodniowo 32 funty; prawdopodobnie to samo należy powiedzieć o kartoflach, lecz w tem miejscu p. S. podaje jedynie cenę bez wskazania wagi lub objętości. Tłuszczu funt tygodniowo. Wszystkie zbytki ograniczają się do tytoniu — tygodniowo za 7 kop. i wódki — za 20. Przyodziewek pochłania rocznie 35% dochodu (86 rs.). Mebli i sprzętów kuchennych nie kupowano od lat 2. Jeżeli dodamy jeszcze zapałki, naftę itd., otrzymamy, iż cały rozchód wynosi 243 rs., tj. przewyższa dochód o 2 rs. I mimo wszystkiego położenie tej rodziny należy jeszcze do znośniejszych! Przypatrzmy się bowiem drugiej. Składa się ona z ojca, pracującego 324 dni rocznie po 12 g., matki i sześciorga dzieci (najstarsze liczy lat 14). Ojciec, gdy był jeszcze kawalerem, zebrał 200 rs., z których dochodzi rocznie 20 rs. procentu. Roczny zarobek wynosi 161 rs. Na pożywienie wychodzi 134 rs. — mniej niż w poprzednim przykładzie. Wśród wydatków na pokarm chleb stanowi 32%, mąka i kartofle 34%. Mięso jedzą raz na tydzień — w niedziele po 2 f., również i kawę piją jedynie w święta. Wódka w domu zjawia się zaledwie dwa razy do roku — na Wielkanoc i Boże Narodzenie, pociągające za sobą 40-kopiejkowy wydatek. Tytoń pochłania tygodniowo 7 kop. Na ubranie idzie rocznie 75 rs. I mimo wszelkiej oszczędności, utrzymanie kosztuje blizko 200 rs. rocznie — mamy więc znaczny, bo kilkunastu rubli deficyt, o którym p. S. nie mówi, jak się go pokrywa.

Otóż na zasadzie tego rodzaju materyałów faktycznych, p. S. dochodzi do wniosku, iż mięso i tłuszcze w pożywieniu naszego robotnika fabrycznego (właściwie robotnika z cukrowni) stanowią zaledwie 3,8%, wówczas gdy mąka, chleb, kasza i kartofle wynoszą aż 95,4%. W rezultacie otrzymujemy maszynę roboczą z nader słabemi mięśniami. Przyłóżmy teraz wraz z p. S. do tego rezultatu skalę, wypracowaną przez hygienę. A zatem gdy według Engela organizm pracującego robotnika winien o-

*) *O prodowolstwi raboczych na fabrykach Prywislanskawo kraja*, S. Petersburg.

trzymać 120 gramów białka, 60 tłuszczu, 500 węglowodanów i 30 soli, tymczasem z poszukiwań urzędowych, bo inspekcyi fabrycznej, wypływa, że robotnik polski, pracujący w cukrowniach, dostaje: 34½ gram. białka, 24,14 tłuszczu, 547,4 węglowodanów i 20,8 soli. W rezultacie mamy przed sobą chroniczny głód odnośnie do substancyj białkowych i tłuszczowych. Nadto należy zauważyć, iż robotnik opycha się produktami jaknajmniej pożywnymi. Z tego powodu p. S. — powaga, na którą się chętnie powołujemy w obecnym razie — zauważa, iż najmita z cukrowni spożywa mniej ciał białkowych i tłuszczowych, aniżeli tego żądał Voigt dla niepracujących aresztantów-zbrodniarzów oraz starców, bezczynnie żyjących w zakładach dobroczynnych. Zbyteczna rozwodzić się, jak takie niewystarczające odżywianie musi wpływać ujemnie na zdrowotność i siły klasy robotniczej. Stan to smutny, lecz możemy go jedynie konstatować, bez środków usunięcia. Ów głód stały we względzie niektórych materyałów spożywczych jest wynikiem praw rządzących płacą. Dla usunięcia go należałoby zmienić przeszłość historyczną warstwy i same warunki ekonomiczne, wpływające na poziom zarobku — warunki, których nie przełamią wysnute w gabinecie projekty i projekciki, jeśli samo życie nie wyłoni odpowiednich dążeń. Jednym z czynników jest tu kulturne podniesienie się tłumów pracujących, co wywołałoby w nich większe wymagania życiowe wraz z umiejętnością zdobycia dla nich prawa obywatelstwa. Wprawdzie dobrze zrozumiany interes „winien" skłonić klasę przedsiębiorców do umożliwienia robotnikom lepszego odżywiania. Głód bowiem we względzie ciał białkowych — to słabe mięśnie, to małe napięcie pracy i wadliwa jej ciągłość. Próby pewnego fabrykanta francuskiego wymownie stwierdziły tę prawdę. Póki robotnicy w jego fabryce karmili się głównie pokarmem roślinnym, każdy przepuszczał przeciętnie z powodu choroby 13 dni roboczych w roku; odkiedy zaś wprowadzono więcej pokarmu mięsnego, liczba przepadających dni spadła do 3. Nie mówimy już o podobnież zwiększonem natężeniu i ciągłości pracy podczas dnia. Atoli i uświadomienie sobie przez przedsiębiorców własnego interesu jest kwestyą czasu i warunków społecznych. Jest to jedyna droga, zresztą nieprawdopodobna, po której przy istniejących warunkach produkcyi możnaby w większym stopniu urzeczywistnić przepisy hygieniczne — lecz tylko o tyle, o ile odniosłaby stąd zysk klasa przedsiębiorców. Po za tem pozostaną one głosem wołającego na puszczy. I w tym więc przypadku nauka — obecnie hygiena — zamiast być ku pożytkowi całego świata, troszczy się tylko o jedno: o zwiększenie dochodów pewnej cząstki społeczeństwa...

Korzystając z broszury p. S., poruszymy jedną kwestyę, przezeń postawioną. Za granicą, w Szwajcaryi i w Niemczech, upowszechnił się zwyczaj, iż fabryki posiadają przyrządy ogrzewane przez parę, w których robotnicy mogą odgrzewać przyniesione z domu jedzenie. U nas jest to zgoła nieznanem, z wyjątkiem kilku zakładów w Sosnowicach. Robotnik zmuszonym bywa więc udawać się albo do domu, często dość oddalonego, bez względu na pogodę, lub spożywać zupełnie zimne jadło. Tymczasem urządzenie i utrzymanie odpowiednich aparatów nie pociągałoby wielkich kosztów. Drugiem nadużyciem, powszechnie spotykanem, jest brak oddzielnego miejsca w fabrykach na spożywanie pokarmów. Wypada to czynić śród największego kurzu i pyłu. Zaprowadzenie oddzielnych izb do jedzenia i przyrządów do odgrzewania pokarmu stawiamy śmiało, jako żądania, których wypełnienie może osiągnąć opinia publiczna za pośrednictwem władz inspekcyi fabrycznej. *K.*

KARTKI NAUKOWO-ESTETYCZNE.

Hypnotyzm a sztuka aktorska. Dr Dufay uwiadomił niedawno paryskie Towarzystwo psychologii fizyologicznej o kilku próbach poddawania myśli z odległości. Opowiada, zresztą z wszelkiemi możliwemi zastrzeżeniami, o usypianiu kilku swych stałych pacyentek w ten sposób; jedną np. uśpił razu pewnego z odległości 112 kilometrów — jakkolwiek sam powątpiewa o prawdopodobieństwie takiego wpływu i zjawisku usiłuje dać jakieś inne wytłomaczenie. Mniejsza zresztą obecnie o istotność i zakres poddawania myśli. Korzystając z faktów d-ra Dufaya, chcielibyśmy potrącić o inne zagadnienie. Otóż wśród doświadczonych znajdowała się niejaka panna B., aktorka. Razu jednego jej towarzyszka spóźniła się na pociąg i nie mogła przybyć na przedstawienie sztuki, w której miała wystąpić. Jedynie panna B. mogłaby ją wyręczyć, lecz na nieszczęście znała rolę tylko z widzenia. Zresztą dyrektor obawiał się zwrócić wprost do niej z propozycyą, gdyż samo zapytanie musiałoby zawierać niejaki odcień powątpiewania, co, wobec wrażliwego usposobienia p. B., zupełnie uniezdolniłoby ją do oddania roli. Uciekł się tedy do pośrednictwa d-ra Dufay. W rezultacie artystka wywiązała się wybornie z zadania, odgrywając rolę w stanie hypnotycznym, do której zgola nie była przygotowaną.

Przypomniemy teraz inne fakty. Powiada się do zahypnotyzowanego: „Jesteś bydlęciem" — i on naśladuje odpowiednie ruchy i wydaje stosowne dźwięki. „Jesteś generałem" — i oto cała postawa zdradza poczucie i przeświadczenie, właściwe żołnierzowi tego stopnia. Zahypnotyzowany, nawet bez najmniejszego rozkazu w tej mierze, zmienia charakter samego pisma. Słowem mamy przed sobą aktora, odgrywającego rolę nie z samowiedzą i dobrowolnie, lecz wskutek zwykłego przymusu. Atoli stan hypnotyczny przedstawia jedynie wygórowania czynników i sprężyn normalnego życia duchowego. Możemy więc przyjąć, iż warunki, wskutek których hypnotyzujący odgrywa pewną rolę, są tegoż samego rodzaju, co składające się na grę świadomą aktora. Zbadanie jednych dostarczyłoby klucza do zrozumienia drugich. Myśl naszą sprobujemy wypowiedzieć nieco jaśniej i dobitniej.

Najpierwszym i najważniejszym warunkiem dla dobrego odegrania jest naturalność, możliwa zresztą jedynie przy zupełnem przejęciu się charakterem przedstawianej postaci. Takie wszakże przejęcie się jest objawem niezależnym od dobrych chęci człowieka, ale pozostaje w związku z organicznem ukształtowaniem strony uczuciowo-duchowej. Zbyteczna byłoby dowodzić, iż im osoba łatwiej daje się opanować jakiejś szczególnej idei i z większą szybkością może uledz potem jakiejś odmiennej, tem więcej przedstawia zdolności do naturalnego oddania odpowiednich stanów. Lecz takie opanowywanie się i przejmowanie jakiemś zdarzeniem lub położeniem jest poniekąd pewnego rodzaju samozahypnotyzowaniem. Nowoczesne doświadczenia dowiodły wszakże, iż ze zdolnością samopoddawania idzie zawsze w parze inna — uległość względem prób hypnotyzowania zewnętrznego. W ten sposób za pośrednictwem szeregu ogniw zostaje rzucony pomost pomiędzy zdolnością aktorską a wrażliwością na uśpienie hypnotyczne i poddanie myśli. W takim razie byłyby to rysy psychiczno-fizyologiczne nawzajem sobie współrzędne. Możnaby więc spodziewać się, iż odpowiednio skierowane doświadczenia hypnotyczne będą w stanie rzucić niejakie światło na typ antropologiczny zawodu scenicznego — co do usposobień fizyologicznych i duchowych. Artystów pomawia się wciąż o określone zalety i wady charakteru, przypisując je otoczeniu i warunkom zarobkowania. Być może, raczej wypadałoby je uważać za wyniki wrodzonego usposobienia, co wywołało i samą skłonność do zajęcia się aktorstwem. Jak z jednej strony psychologia artystów scenicznych zdołałaby oświetlić typy, odczuwające żywo jakąś sytuacyę i zdolne do natychmiastowego przejęcia się jakąś inną, a w ciągu dalszym wyjaśnić psychologię uzdolnień do stanu hypnotycznego, podobnież z drugiej strony zachowanie się zahypnotyzowanych jednostek, zwłaszcza w stanie półświadomości, pomogłoby do zanalizowania warunków fizyologicznych (psychicznych) gry aktorskiej.

Prawodawstwo międzynarodowe dla obrony ptactwa. Zbyteczna dowodzić, iż bezwzględne prawo własności prywatnej — *jus utendi et abutendi* — względem sił i zasobów przyrody często bywa nietylko niedorzecznem, lecz wprost szkodliwem. Właściciel dba jedynie o zyski chwilowe, nie zwracając uwagi ani na szersze koła społeczne, ani też o dobro przyszłych pokoleń. Dość przypomnieć następstwa takiego gospodarowania odnośnie do lasów. Niszczono je bez najmniejszego skrupułu lub pieczy o dalszą przyszłość. Skutki nie dały na siebie długo czekać. Częstsze staczanie się lawin po ogołoconych z drzewostanu pochyłościach górskich zmusiło szwajcarów do naprawy błędu. Gdzieindziej jednak wywołane skutki — posuchy, powodzie — trwają bez przeszkody. Wreszcie państwo musiało wdać się w sprawę i przez odpowiednie ustawy znieść bezwzględne prawo własnościowe co do lasów, ograniczając je na korzyść społeczeństw żyjących i przyszłych.

Obecnie wśród ornitologów słychać skargi z powodu podobnego postępowania względem ptactwa. Niedawno przeglądaliśmy statystyczne dane — oczywiście, o ile o nich w tej sferze można mówić—odnośnie do tępienia ptaków, których pióra idą na ozdabianie kapeluszy i strojów damskich. Biedne strusie, kolibry, ptaki rajskie giną już nie dziesiątkami, lecz setkami tysięcy corocznie. Tępienie wzrosło zwłaszcza w ostatnich czasach. Autor wypowiada zdanie, iż jeżeli takie łupiestwo potrwa jeszcze dłużej, z powierzchni ziemi zniknie wiele gatunków ptasich. Głosy, występujące w obronie ptaków, w ostatnich latach wzrosły szczególniej w Europie. I nie dziw. Nieopatrzne mordowanie wywołało klęskę — niezwykłe rozwielmożnienie się robactwa, tępiącego posiewy i zbiory rolne. Zresztą przyczyniło się do tego nietylko bezpośrednie zabijanie, lecz i niszczenie lasów, osuszanie błot i moczarów itd. itd. Poznanie pożytku z ptactwa nastąpiło zresztą oddawna. Już przed 20 laty rząd pruski polecił władzom gminnym rozpowszechnianie broszur, wykazujących tę szkodliwość. Ornitolodzy jednak nie zostali zadowoleni takim obrotem sprawy. Żądają oni czegoś więcej. Po pierwsze, domagają się zaprowadzenia w szkołach elementarnych odpowiedniego wykładu; powtóre, urządzenia sztucznych schronień oraz hodowli dzikiego, lecz pożytecznego ptactwa, a to dla nagrodzenia szkód, wyrządzonych w tej mierze przez postęp kultury leśno-rolnej; wreszcie zatwierdzenia przez państwo odpowiedniej ustawy ochronnej. Kwestyę postawiono na międzynarodowym zjeździe ornitologów w Wiedniu w 1884; po obradach zwrócono się do rządu węgiersko-austryackiego z prośbą o przeprowadzenie zakazu: a) wszelkiego łapania i zabijania ptactwa zapomocą innych środków, niż broni palnej, oraz handlu jajami bez urzędowego zezwolenia — z wyjątkiem oznaczonej pory roku; b) masowego tępienia ptaków w jakikolwiek sposób. Sprawa jednak wkrótce zamilkła. Podniesiono ją znowu w Niemczech i skłoniono parlament niemiecki do uchwalenia w roku bieżącym odpowiedniej ustawy. Zabroniono niszczenia gniazd, wybierania jaj i pisklął—

przynajmniej dla wymienionych w ustawie gatunków; jedynie właścicielowi pozostawiono prawo wyrzucania gniazd ze swych budynków. Zakazano wszelkiego łapania w nocy zapomocą jakichkolwiek środków oraz podczas pór roku, kiedy śnieg leży, za pośrednictwem upajających pierwiastków i kilku innych środków. W szczegóły nie wchodzimy, gdyż i powyższe wystarczą.

Jednakże prawodawstwo krajowe okazuje się w tym razie mało skutecznem. Wiele pożytecznych gatunków należy do t. z. ptaków wędrownych, zabijanych całemi masami przy przelocie, zwłaszcza w południowych okolicach Europy. Uznano więc konieczność międzynarodowego ustawodawstwa. Krok pierwszy w tym kierunku zrobiono jeszcze w 1875 w odpowiedniej umowie włosko-austryackiej, zresztą bardzo pobieżnej i niewystarczającej. Zdaje się wszakże, iż długo jeszcze wypadnie czekać, nim coś podobnego powstanie na większą skalę i w sposób bardziej zadawalający.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Wacław Woysym Antoniewicz: *Zygmunt August, król polski*, dramat historyczny w 5 aktach a 6 odsłonach. Kraków, 1888.

Żadna może z postaci ukoronowanych, zdobiących dzieje dawnej Polski, nie cieszy się taką popularnością na niwie literacko-artystycznej, jak Zygmunt August—w towarzystwie Bony i Barbary. Dzieła pióra i pędzla, poświęcone temu przedmiotowi, mogłyby bardzo pokaźne pod względem ilościowym stanowić muzeum. Samych dramatów, kuszących się o odtworzenie rozwiązanej tragicznie w r. 1551 idylli królewskiej, dość okazałą posiadamy wiązkę. Feliński i Wężyk, Magnuszewski i Odyniec, olśnieni pięknością Radziwiłówny, usiłowali z różnem powodzeniem rudę dziejową na czyste przetopić złoto. Idealizowanie Barbary, świecącej przez pryzmat legendowy podobnym, jak Marya Stuart, urokiem, było w ciągu lat trzydziestu jedynym ze stałych wyrazów panującego u nas prądu. Dopiero szkic historyczny Karola Szajnochy, oparty na wydanych przez Michała Balińskiego pamiętnikach, odtwarzając w charakterze nadobnej wdowy po Gasztołdzie ambitne pragnienie korony, przyćmił tradycyjną aureolę nad głową bohaterki, a określeniem naturalnych motywów jej skonu ograniczył znacznie wpływ matki-zabójczyni i z czoła rzekomej męczennicy wieniec cierniowy usunął. Poglądom tym dotąd nikt zasadniczej nie odmówił podstawy. Autor leżącego przed nami utworu, p. Wacław Woysym Antoniewicz, stąpa po dawnym gościńcu, a traktuje swój przedmiot z tak niezależną od wszelkich studyów, naiwną odwagą, jakby rzeczywiście był przekonany, że nowe dramatowi polskiemu wytyka drogi. „Sądzę, powiada, że wpływ twórczości ludowej na rozwój literatury nie skończył się *z wprowadzeniem upiorów i gadających puszczyków do poezyi*.“ Niema wątpliwości, mój panie; ale spóźniona to dla nas nauka, bardzo spóźniona. Trzeci dziesiątek bieżącego wieku dawno już minął... W r. 1828 czy 29, po przeczytaniu np. *Zamku Kaniowskiego*, można było, taką z namaszczeniem wygłaszając teoryę, uchodzić za postępowego estetyka; ale nie dzisiaj. Wszakże już w r. 1833 Wincenty Pol dowiódł tej prawdy, a po nim — Wasilewski, Lenartowicz, Konopnicka i wielu innych. Przypuśćmy jednak, że zdanie powyższe ma jeszcze dziś rzeczywistą wartość i zapytajmy, z jaką się ono w danem miejscu wiąże argumentacyą — czego ono może dowieść tam, gdzie autor zagaja „dramat historyczny“ z wieku XVI-go. Oto p. Antoniewicz oświadcza uroczyście, że fabułę swego dzieła na „klechdzie ludowej“ osnuł. Na klechdzie ludowej — dramat *historyczny*? Czy to czasem nie żarty? Cóż się stanie z *historyą*, gdy ją w *klechdzie* rozpuścimy *ludowej*? Zniknie, a dramat — podstawę swego bytu utraci. Dodajmy w końcu, że to, co poczynający autor „klechdą“ nazywa, nie jest rodzimem wykopaliskiem, lecz przepisaną z książki opowieścią, naśladującą wprawdzie sposób tworzenia ludowego, ale bardzo bladą i pozbawioną zgoła rysów świeżych a oryginalnych. „Był król stary — mówi mniemana klechda — już bardzo stary i miał żonę dużo młodszą od siebie i syna.“ Dalszego ciągu łatwo się domyślić: odszuka go czytelnik w lada podręczniku popularnym, po odrzuceniu dat, nazwisk i szczegółów, przekraczających dzieje gasnącej *z wyroku nieba* rodziny monarszej. Warto wreszcie zapytać, czy rwący się z taką odwagą do pióra, pod hasłem krzewienia w literaturze wpływu twórczości ludowej, zabarwił przynajmniej p. Antoniewicz odpowiednio swój dramat pseudo-historyczny? Wcale tego nie dostrzegamy: ani język, ani ton, ani przekwitła osnowa— nic zdradza bliższego pokrewieństwa między jednostką twórczą a teoretycznie przez nią wielbionym, duchem ludu. Jedyna, wydatniejsza postać z gminu, Barbara Giżanka, jest obcą wszelkim uczuciom szlachetnym, śmiesznie nadętą a wstrętną prostaczką.

Charakterystyczną cechę „dramatu historycznego“ stanowi zupełne niemal podeptanie historyi. Barbara wychodzi (w poemacie) za Augusta, jako dziewica, nie zaś—wdowa po Gasztołdzie. W chwili, gdy młody król odstępuje z żoną od ołtarza, rozlega się głos wielkich dzwonów, zwiastujących śmierć Zygmunta I — a są to, jak wiemy, dwa wypadki, czteromiesięcznym rozdzielone okresem. Ostatniego z Jagielonów nazywa dający ślub młodej parze, ksiądz Domintk, „jego królewiczowską mością,“ zapominając, że już od lat kilkunastu (od 1530) czoło młodzieńca monarszy zdobi dyadem. Sprawa ukoronowania Barbary (wbrew dziejom) żadnego prawie w senacie i izbie poselskiej nie napotyka oporu. Po koronacyi Zygmunt August wybiera się z dwakroćstotysięcznem wojskiem na kresy, przeciw jakiemuś nieprzyjacielowi — gdy wiadomo, że żadnej potrzeby bojowej podówczas nie było, a siłą tak wielką na lada skinienie monarcha rozporządzać nie mógł. Według listów Commendoniego, w r. 1564 (po ustanowieniu t. z. „kwarty“) miał on pod swymi rozkazami tylko 66,000 żołnierza (55 tyś. na Litwie, 11 tyś. w Polsce). Młoda królowa truje się w sposób jak najmniej prawdopodobny—niby mysz jaka lub mucha — nie podanym do ręki, lecz porzuconym na uboczu płynem, w sam dzień koronacyi—gdy łaskawsza na nią historya pozwala cieszyć się jeszcze następstwami aktu uroczystego przez sześć blizko miesięcy (od 9 grudnia 1550 r. do 8 maja 1551).

Tu i owdzie nietylko zgody z dziejami, ale żadnego nawet prawdopodobieństwa nie ma. Na balu dworskim Bona, wobec gości, „mrukiem“ nazywa syna, a Tarnowski z Boratyńskim w sposób niegrzeczny i bezprawny, po śmierci Zygmunta I, odmawiają wdowie tytułu królowej. Ksiądz Hipacy, przy łożu konającego Augusta, niewiadomo jaką odgrywa rolę — kapłana-pocieszyciela, czy łotra lub trefnisia w książej sutannie. Nie ma on zdecydowanego charakteru: drażni się z Basią Giżanką, jak pierwszy lepszy chłystek — woła „trrr..., naśladując ręką obracanie się młynka;“ królowi radzi „grzmotnąć się w piersi,“ (co na prostackie drwiny zakrawa), a pomimo to, przemawia słowami Tymidy dziejowej, obiecując Augustowi nieśmiertelność za to, że „uwieńczył godnie wielkie Jadwigi i Jagiełły dzieło.“ Ćwierć wieku w pięciu zamknięto aktach, a zupełne zatarcie różnych momentów czasu, przy dosyć ścisłem ujednostajnieniu akcyi, pociągnąć za sobą musiało rozpaczliwą monotonność figur i obrazów. Główne nawet charaktery (Zygm. August, Bona i Barbara) niby łątki w szopce lub cienie chińskie, blade a sztywne, przesuwają się przed naszemi oczyma, i wtedy jedynie czytelnika bawią, gdy... przez pomyłkę maszynisty—jak ksiądz Hipacy — w obcej występują roli.

Językowi p. Antoniewicza niepodobna odmówić pewnej giętkości; jest on wszakże nawskróś nowożytny i o archaizmy wcale się nie troszczy. Taniec „polski“ nosi u niego obcą szesnastemu w Polsce stuleciu, francuską nazwę *poloneza*, a podkomorzowie — *szambelanów*. Przestarzałe wyrazy trafiają się niekiedy—w mylnem jednak zastosowaniu, co nas naprowadza na domysł, że autor zamało jest obeznany z piśmiennictwem staro-polskiem. „Już gotów (mówi Bona) świata niewidzieć prawie za *spódniczką* jednej *podwiki*...“ „Podwika“ (zasłona głowy kobiecej) może metonimicznie oznaczać „białogłowę,“ ale nie w połączeniu z wyrazem „spodniczka...“ W całym utworze trzy gramatyczne zauważyliśmy usterki: „pójdę przeciw *niego*“ (zam. *niemu*), „*jak* skoro tylko“ i „zmarniony“ (zam. *zmarnowany*). Wiersz biały, jedynastozgłoskowy, miejscami równy i harmonijny, tę ujemną przedstawia stronę, że enklityki stawia zbyt często na miejscu sylab akcentowanych („Ni cienia zdrady, *a zaś* oprócz tego“ —„Sposób zwrócenia *go* na dobrą drogę“ — „To, chociażem jej rzekł już przy rozstaniu“ — „Więc pocóż *ci* się miałabym narzucać“ — „Próchno sypiące *się* zeń zostawując“ itp.).

Forma wogóle byłaby udatna, gdyby utwór wewnętrzne przedstawiał zalety... Przyznać mu ich wszakże niepodobna. Jest on parodyą, stojącą na szarym kresie długiego prób literackich, szeregu. Niech pisarz porówna swój „dramat“ choćby tylko z pseudoklasycznym Felińskiego opracowaniem, a przekona się, jak małą ma wartość ten na rzekomej klechdzie, po za sferą muzy dziejowej sklecony budynek.

A. G. Bem.

WISŁA.

Jak wiadomo czytelnikom naszym, *Wisła* z miesięcznika, redagowanego niedbale i nieudolnie, stała się pod nowem kierownictwem J. Karłowicza kwartalnikiem poważnym, rzetelnie naukowym, poświęconym etnologii i etnografii polskiej. Dotąd wyszły trzy zeszyty, trzy pokaźne tomy, które są bardzo piękną zapowiedzią dla wydawnictwa na przyszłość. Zaledwie długim artykułem wyczerpalibyśmy sam szczegółowy spis treści tych książek; więc tylko zwrócimy uwagę na prace obszerniejsze i dla ogółu ciekawsze. W zeszycie pierwszym Orzeszkowa opisała ludzi i kwiaty nad Niemnem, Z. Gloger — swoją wycieczkę Niemnem, która zbogaciła jego zbiory cennymi zabytkami archeologicznymi, Rostafiński — jemiołę, S. Ulanowska — Boże Narodzenie u górali zwanych „zagorzanami,“ S. Ciszewski zaś gruntowną rozprawką przedstawił twórczość ludu w terminologii językoznawczej i nazwach plemiennych. Obok materyałów surowych (pieśni, podań, bajek), znajdujemy tu uwagi o rozmaitych kwestyach szczegółowych. Nowelistom, poszukującym wątków powieściowych i zbierającym je z jałowej niwy pomysłów zużytych, polecamy podanie lotaryńskie o królu Stanisławie, streszczone przez J. Karłowicza z legendy francuskiej.

Zeszyt drugi, oprócz dokończeń i roztrząsań specyalnych, przynosi nam pouczające obliczenia statystyczne Andrzeja S., dokonane na podstawie „Zbioru wiadomości odnoszących się do Rosyi“ (po rusku), a do-

tyczące przestrzeni i ludności. Są to najświeższe dane urzędowe. Królestwo polskie i gubernie połudn.-zachodnie przedstawione w cyfrach szczegółowych.

Zeszyt trzeci jest najbogatszym w artykuły naukowe treści ogólnej. Krzywicki mówi o antropologii w historyozofii i socyologii, Hryniewicz — o antropologii wogóle i w zastosowaniu do kraju naszego, Nałkowski — rozpoczyna kronikę geograficzną rysem historycznym tej umiejętności, Zakrzewski pisze z Puszczy Zielonej, a Turczyński zdaje sprawę ze swej wycieczki w głębię Tatr — szkoda tylko, że czyni to oschle, bez talentu i badań naukowych. Żywy, przyjemny i pouczający opis Glogera powinien był stać się dla p. T. godnym naśladowania wzorem. Zajmującą kartkę humorystyki naukowej przedstawia podany przez Karłowicza ze zbiorku studentów dublińskich „dowód jako M. Müller nigdy nie istniał.“ Jest to ośmieszenie teoryi i osoby słynnego lingwisty.

I w tym zeszycie, jak w poprzednich mieszczą się poszukiwania, rozbiory, krytyki, wiadomości, wreszcie rysunki. Redakcya pragnie powoli wyłączyć z *Wisły* materyały surowe (przeznaczając je dla osobnego wydawnictwa) i całą poświęcić opracowaniom naukowym. W ostatniej książce dostrzegamy już znaczne posunięcie się w tym kierunku. Czytelników naszych, którzy zdawna znają i cenią wiedzę i zdolności kierownika *Wisły*, nie potrzebujemy upewniać, że on z niej stworzył poważny i ujmujący organ etnologii polskiej. Powinna też ona zająć szerokie koła publiczności ukształconej nietylko ze względu na swą wartość, ale i ze względu na korzyść z czynnego uczestnictwa w niej licznego zastępu ludzi myślących. Ponieważ *Wisła* zbiera materyały i jedynie przy wielostronnej pomocy zdoła spełnić swe zadanie, przeto każdy jej czytelnik może i powinien być jej współpracownikiem, przynosić wszystko, co dla skarbca badań krajoznawczych przedstawia jakąkolwiek wartość, a wtedy zmażemy zadawniony grzech nieznajomości własnego gniazda, wtedy może myśl nasza, zwabiona jego urokami, powróci z włóczęgi po całym świecie obcym i pokocha siedzibę swoją. A doprawdy już czas, ażeby deklamacya o potrzebie uważnego rozejrzenia się u siebie nie była jedyną spłatą długu względem kraju. Przestańmy puszczać bańki z barwnych mydlin i zajmijmy się tą sprawą rzetelnie.

HARRIET BECHER STOWE.

(Wspomnienie pośmiertne).

Kruchym i przemijającym zazwyczaj bywa rozgłos, który towarzyszy dziełom literackim, ściśle związanym z potrzebami chwili bieżącej. Po latach piętnastu, dwudziestu już inne zagadnienia zaprzątają myśl ludzką, innemi drogami podąża społeczeństwo. Wtedy to niejeden utwór, ongi zajmujący i przez wszystkich czytany, leży w pyle zapomnienia i przypomina owe zwaliska zamków, niegdyś gniazd potęgi i życia. Wraz z dziełem idzie w kąt i nazwisko jego twórcy. Zjawiają się młodzi, nowi, którzy powoli przed oczami publiczności zasłaniają oblicze jej starego znajomego, jej ubóstwianego oblubieńca.

Kto np. z młodszego pokolenia lub ze starszych sądził, że do niedawna jeszcze, przed kilku tygodniami żyła kobieta, której nazwisko brzmiało kiedyś po całym ucywilizowanym świecie? Około roku 1855 nie znalazłbyś ani jednego średnio wykształconego człowieka, który na dźwięk tego nazwiska nie pochyliłby czoła z szacunkiem. Książkę p. Becher Stowe, przetłomaczoną na kilkanaście języków, między nimi zaś i na nasz p. n. *Chata wuja Toma*, z zapałem czytano wszędzie. W Stanach Zjednoczonych pojawiła się ona w 1850 roku naprzód na szpaltach dziennika *National Era*. Był to właściwie dzienniczek, a nie dziennik, mało rozpowszechniony i niegłośny. Początkowo tedy *Chata wuja Toma* przeszła bez zwrócenia na siebie uwagi ogółu. Nawet księgarze wahali się z wydaniem jej osobnem. Lecz zaledwie znalazł się taki śmiałek, wnet przekonał się, że odkrył rudę, z której może sowicie wytapiać złoto. W przeciągu trzech miesięcy rozkupiono 60,000 egzemplarzy, za któremi poszły jeszcze setki tysięcy.

Chcąc zrozumieć owo niezwykłe powodzenie, trzeba rozpatrzyć, śród jakich warunków społecznych i w jakim celu Becher Stowe puściła w świat swą powieść. W południowych Stanach panowało niewolnictwo surowe, nieubłagane, zaostrzone nieludzkiem prawodawstwem na korzyść panów. Ci ostatni, zwykle z zawodu plantatorowie, uważali je za kamień węgielny swego bytu; purytanie natomiast Stanów północnych znieśli je u siebie i żądali naśladowania tego kroku ze strony wszystkich współobywateli. Szalony ruch na każdem polu rozwinęły oba stronnictwa i nie szczędzono żadnych środków, byle tylko zwyciężyć. Południowcy chcieli nawet udowodnić antropologią, że murzyni są rasą upośledzoną fizycznie i umysłowo, że nie mogą tedy korzystać z tych samych praw politycznych co i biali. Zaciekłość swą posuwali również do prześladowania mieszańców. Oto, co pisze Tylor w swej *Antropologii*: „W południowych Stanach Zjednoczonych Ameryki, dopóki niewolnictwo nie zostało zniesionem przed niewielu laty, ślady pochodzenia murzyńskiego badano z największą drobiazgowością. Nietylko plemiona mieszane stale klasyfikowano jako mulatów, kwarteronów, aż do oktawonów, ale nawet tam, gdzie domieszka była tak nieznaczną, że oko niewprawne nie dostrzegło niczego, prócz plci brunatnej, przybysza, ośmielającego się usiąść do publicznego stołu, wzywano do pokazania rąk i odkrywano skazę afrykańską w zabarwieniu ciemnem nasady paznokci.“ Te słowa uczonego, kreślone spokojnie i beznamiętnie w lat kilkadziesiąt później, mogą należycie odzwierciedlić wszystkie okrucieństwa, popełniane na rodowitych murzynach.

Becher Stowe w krwi swej nosiła już zarodki przyszłej działalności, gdyż była córką doktora teologii Symanua Bechera, który przez całe życie pracował właśnie nad zniesieniem owej nieludzkiej nierówności społecznej. Czterej bracia jej oraz mąż, Calvin Stowe byli teologami i tak żywem słowem, jak i piórem popierali ukochaną przez siebie i ojca sprawę. Stowe otrzymał później katedrę literatury w Darmouth i zawiązawszy stosunki, pomógł żonie do rozpoczęcia piśmienniczego zawodu. Przeważnie pisała ona artykuły treści moralnej i drobne opowiadania, prócz tego była współpracowniczką jednego z pism, wyłącznie poświęconych równouprawnieniu murzynów. Stąd tutaj zapewne zrodził się pomysł powieści *Chaty wuja Toma*. W starej Europie cieszyły się wówczas powodzeniem powieści tendencyjne, pisane przez natchnionych szermierzy stronnictw rozmaitych; Stowe poszła za ich przykładem i na tle prawdziwych zdarzeń i rzeczywistych cierpień murzynów osnuła swój utwór. Prostota i obfitość świeżego a potężnego uczucia podbiła i przekonała serca wszystkich tych, których nie zaślepiło samolubstwo. Zwolennicy równouprawnienia murzynów zachwycali się książką, tak dobitnie popierającą ich dążności, południowcy przeciwnie rzucali na nią gromy. To wszystko powiększał rozgłos utworu i jego autorki. Niebawem tę powieść przerobiono na dramat, który odbył zwycięzki pochód przez wszystkie sceny amerykańskie i europejskie.

Łudziłby się przecież każdy, ktoby sądził, że umysł autorki *Chaty* był potężnym i głębokim. Przeciwnie, znamieniem jego była jednostronność poglądów. W sercu jej tkwiło uczucie przyjazne dla cierpiącej ludzkości, lecz oparte jedynie na zasadach religijnych; wszystko, co sprzeciwiało się tym ostatnim, napawało ją nietylko wstrętem, lecz i gniewem. Dlatego też nie mogła pogodzić się z tymi, którzy także kochali ludzkość, z innej przecież, aniżeli ona, wychodząc zasady. Odpływ tego gniewu i jej nienawiści nastąpił w książce, wydanej w 1869 r., a skierowanej przeciw Byronowi. W niej to zjadliwie oskarżyła go o występny stosunek z siostrą, w niej oczerniła jego życie, jego czyny i jego charakter. Zawiedli się również i ci, którzy spodziewali się, że stworzy ponownie powieść równą co do wartości *Chacie*; następne jej utwory należą już przeważnie do literatury kościelnej.

Polski przekład *Chaty wuja Toma* pojawił się w Wilnie w 1858 r., dwa inne w Warszawie i we Lwowie, przerobiono ją również, zdaje się, na książkę, przeznaczoną dla dzieci.

N.

POEZYA.

SPACER.

W pokoju duszno, ciasno, jak w trumnie,
A świat się w okno uśmiecha
I tak nęcąco zagląda ku mnie,
Ej, precz z tą książką do licha!
Precz myśli gorzkie! — głowa się nuży,
Precz smutki! — serce już mdleje...
Co z tych rozmyślań? Im myślę dłużej,
Tem bardziej bledną nadzieje...
Przyszłość sfinksowa, twarzą mię trwoży:
Któż ten hieroglif odczyta?
Czy będzie lepiej? czy będzie gorzej —
Nie zgadnie żaden wróżbita.
Przeszłość?.. Szaleniec, kto do niej wzdycha
I w groby kołace głuche!
Z *teraźniejszości* tylko kielicha
Sączmy swą moc i otuchę!
„Bierz, co się daje i póki można,“
Tucz się z innymi pospołu;
Lecz „żadnych marzeń!“— marzyć — rzecz [zdrożna!
Żyj życiem ptaka, psa, wołu...
To regulamin, to program cały,
Głoszony urbi et orbi —
Porywy serca, myśl, idealy
Schowaj głęboko do torby!
Więc precz z tą książką! niech mi nie gada
O jakiejś dawnej przeszłości,
Co w oczach moich wciąż stojąc blada,
To mię rozrzewnia, to złości.
Ot, wyjdę lepiej... Pójdę doliną
Nad brzegiem tego strumyka,
Pójdę tą wązką w trawie ścieżyną,
Co tam do gaju pomyka;
Zaczerpnę czystej wody z ruczaju,
By nią ochłodzić swe skronie,
A lube dziewczę gdy spotkam w gaju,
Na jej utulę się łonie...
Idę po wonnym z kwiatów całunie
I kędy stopą potrącę —
Stąd polny konik z pod nóg mi frunie,
Stamtąd motyle błyszczące,
A wkoło głowy naksztalt obręczy
Ruchomy z iskier wianuszek
Wije się, mieni, dzwoni i brzęczy
Barwny, zalotny rój muszek.
Słowik zawzięte trele wyrabia,
W krzaku schowawszy się liście,
W blizkiem bagienku kapela żabia
„Kum — kum“ — wtoruje artyście.
Żabia kapela, słowik, motyle,
Blask nieba, łąka i kwiecie
Ej, czarów tyle, piękności tyle,
Czyż nie wesoło na świecie?!

Otóż i strumień, w którym pragnieniu
Mojemu znajdę ochłodę,
Zbliżam się... Cóż to?—Sąsiad w strumieniu
Kąpie opasłych świń trzodę!..
Chodźmy do gaju... W cieniu leszczyny
Dostrzegam lubę już zdala —
Przebóg! co widzę? — Kibić dziewczyny
Sąsiada ramię okala!..
Ha! więc i tu mię zawód spotyka
I rwie nadziei mych przędzę...
Czegożem wyszedł z swego kącika,
Gdziem dumał sobie przy księdze?
Wracajmy prędzej!.. Lepiej mi w cieśni
Mojej komnatki, o lepiej!
Niech tam wśród dumań myśl moja prześni
A książka serce pokrzepi.
Teraźniejszości nie dla mnie chwile!
A zanim przyszłość zagości
Cóż mi zostaje? Jako mól w pyle
Grzebać się myślą — w przeszłości...

Włodzimierz Wysocki.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Wieści z Poznańskiego. — Wynajęcie teatru niemcom. — Co właściwie jest smutnem. — Kolej następstwa instytucyj społecznych. — Czy Poznań ilościowy i jakościowo jest przygotowany do rozumienia sztuki scenicznej. — Słomiany ogień.—Znowu sprzeniewierzenie kasowe. — Zastępca sił krajowych. — Przykazanie *Kraju* i jego przypowieść o kolorowych balonikach. — Redaktor jako sędzia pokoju.— Mackenzie żydem polskim. — Międzynarodówka oszczerstwa.

Z Poznańskiego oddawna nie spodziewa się nikt wieści pomyślnych. Przed kilku laty, za przykładem czechów, postanowiono zbudować w Poznaniu teatr narodowy. Wiece i dzienniki elektryzowały tem przedsięwzięciem całą ludność, liczne grono mężów kwestowało po kraju, opodatkowały się dobrowolnie wszystkie warstwy, do skarbonek redakcyjnych płynęły marki i fenigi, składali bogaci i ubodzy, weselący się i smutni. W czasie tego wybuchu nikt nie śmiałby powiedzieć, że patrzy na ogień słomiany, który szybko zgaśnie. Niestety! Już go nawet palące łzy nie podsycą. *Kuryer warsz.* donosi, że teatr narodowy w Poznaniu na cztery wieczory w tygodniu wydzierżawiono niemieckiej trupie operowej. „Odtąd więc gmach, wystawiony z ofiar, złożonych przez społeczeństwo i to ofiar niemałych, bo wynoszących do 750,000 m., stanie się jedną z dźwigni niemczyzny. Czy się rada nadzorcza spółki zastanowiła nad tym krokiem? Jeżeli jej członków przy podpisywaniu kontraktu z p. Wintcrem nie oblał rumieniec wstydu, to zaiste nie wiemy, co o nich sądzić“? A my wiemy: są to najprawowitsi nasi bracia, ludzie szczególniejszego gatunku, którym trzeba ciągle trzymać cebulę pod nosem, ażeby łzy ronili, którzy jak merkuryusz rozbijają się na płynne ziarenka i rozlatują w różne strony, którzy wiecznie pozostają w stanie ciekłym i pod najtwardszym młotem nie zbiją się w masę twardego metalu. Kiedy zbierali składki na teatr, zdawało się, że on będzie dla nich świątynią życia narodowego, arką zakonu przyszłości — wszystkiem. Ale skoro już zbudowano upragniony gmach, po kilku latach została „tylko rudera, na której ciążą niemałe długi“ i która nie warta niczego lepszego, niż być zajazdem dla śpiewaków niemieckich. To jest całkiem po naszemu: płonąć w tęsknocie do księżyca, a zdobywszy go, zrobić z niego brudną tacę. Prus, zakładający stale *liberum veto* przeciwko każdej instytucyi, której kamieniem węgielnym nie jest bochenek chleba, powiada (w *Kuryerze codz.*): „Tak zwykle kończą się projekty, oparte nie na znajomości potrzeb i zasobów kraju, ale na modzie, na frazesie, albo na tem, że ktoś inny zrobił coś podobnego z dobrym skutkiem... Jesteśmy zupełnie w innem położeniu (niż czesi): mamy stosunkowo więcej zabawy i sztuki, aniżeli chleba i pracy... Zupełnie w podobny sposób możnaby w Poznańskiem utworzyć kopalnię złota: wykopać jamę, sprowadzić kosztowne machiny, ustanowić zarząd... I po kilku latach mieć do niego pretensyę, że kopalnia jest „zagrożona miną.“ Tymczasem jedna rzecz nie uległa dotychczas kwestyi, że: nie otwiera się kopalni złota tam, gdzie nie ma złota. Ani też buduje się „własnych gmachów dla sztuki“ tam, gdzie dopiero należałoby pracować nad przygotowaniem ogółu do zrozumienia sztuki.“ Poznań ma przeszło 30,000 ludności polskiej; ponieważ zaś dla teatru dołączyć można jeszcze co najmniej kilka tysięcy okolicznej, prowincyonalnej, ponieważ przytem skutkiem przymusu szkolnego w Prusiech ludność ta jest wogóle oświeconą, przeto powinnaby ona być dość liczną dla posiadania własnego teatru i dość „przygotowaną do zrozumienia sztuki.“ Według Prusa — nie. Jakiego on przygotowania od niej wymaga i co za owe 750,000 wprzód dla niej by sprawił—nie powiedział. A szkoda, bo gdzie środki materyalne są skąpe a niebezpieczeństwo wielkie, tam dobra rada staje się nieocenioną. Tem bardziej zaś byłbym jej ciekaw, że cały wywód Prusa wydaje mi się strzałem bez jasno widzianego celu, doktrynerstwem, opartem nie „na znajomości potrzeb kraju,“ ale na osobistej niechęci, czy przekorności. Nikt mniej ode mnie nie zgrzeszył bałwochwalstwem dla teatru, więc nie odzywam się tu głosem wyprzęgającego konie od karet sławnym aktorom i aktorkom, przyznając, że jest on potężnym środkiem cywilizacyjnym, że jego wpływ rozlewa się szerzej, niż wielu innych czynników. W tem właśnie spoczywa jego siła, że ściąga do siebie masy, że ma dla nich drzwi na oścież otwarte i próg nizki, że nie wymaga zbyt wielkiego „przygotowania.“ Czem on jest dla umysłów najmniej rozwiniętych i uszlachetnionych, dość wejrzeć w życie plemion barbarzyńskich, ludu prostego lub wreszcie do więzień. W słynnym opisie „katorgi“ Dostojewskiego znajduje się wymowny tego dowód. Zatwardziali zbrodniarze, wypławieni w krwi i znieczuleni w morderstwach, płakali jak dzieci podczas przedstawień scenicznych, urządzonych w „martwym domu“ przy pomocy łojówek, płacht i szynelów, zamiast dekoracyj, a potem przez całe tygodnie nosili na swych duszach ślady wzruszeń i ciągle powracali pamięcią do widowiska, które ich oczarowało. Więc nie zbudowanie teatru w Poznaniu było omyłką i marnotrawstwem grosza publicznego, ale winą był, jest i będzie ten słomiany ogień uczuć, które przez chwilę parzy żarem, a potem mrozi lodem, ten zapał, który wybucha podczas uczt i toastów, a zostawia po sobie jedynie przykry swąd i dym, co dusi i oczy wygryza, ta niezdolność do wytrwania w czemkolwiek, która świątynie zamienia na rudery. Nie tem nas przewyższają inne narody, że w swych dziełach społecznych zachowują idealną, zalecaną przez Prusa kolej, dla której nikt formuły nie wynalazł, że wprzódy wznoszą fabryki, niż teatry, lecz tem, że wszystko, co wzniosą, podtrzymują i napełniają życiem. Prus myli się, że on za lepiej „potrzeby kraju,“ niż ci, którzy temu krajowi przewodniczą, i doprawdy byłby w poważnym kłopocie, gdyby mu powierzono do najlepszego spożytkowania owe 750,000 m.; myli się zaś dlatego, że przyczynę klęsk widzi zawsze w złej gospodarce kilkunastu ludzi, w naruszeniu fikcyjnej kolejności pomysłów i prac, a nie w ogólnych wadach i ułomnościach społeczeństwa. Gdyby czesi znaleźli się w Poznańskiem, nie wynajęliby teatru niemcom, ale nie dlatego, że „mieliby wysoko rozwinięte rolnictwo, znakomity przemysł“ itd., ale dlatego, że chodziliby do teatru.

Czy tego nie zawiele nawet na te ciężkie czasy? Zaledwie zamazano sprzeniewierzenie kilkunastu tysięcy rubli w kasie kolei Terespolskiej, a już buchalter Łódzkiej, Teodor Hertzler, ukradłszy 27,000 rs. umknął za granicę. Słabą pociechą jest okoliczność, że ów jegomość był poddanym pruskim, bo chociaż hańbę możemy odrzucić do cudzego gniazda, stwierdzić musimy z przykrością, że nie bohaterami Plutarcha, sprowadzanymi z Niemiec, zastępowany u nas bywa „brak odpowiednich sił miejscowych.“ Gdyby ktoś przed dwoma laty zrobił wyrzut zarządowi kolei Łódzkiej, że trzyma prusaka na posadzie, którą mógłby zajmować krajowiec, usłyszelibyśmy zapewne o nadzwyczajnych przymiotach p. Hertzlera. Dziś okazuje się, że to bardzo zwykły śmiertelnik, jakiego byśmy bardzo łatwo i blizko znaleźć mogli. Ale co jest charakterystycznem dla naszych stosunków, to objaśnienie, że przeniewierca ciułał sobie ową sumkę „w ciągu lat kilku.“ Objaśnienie to powtarza się prawie przy wszystkich kasowych nadużyciach u nas. Do licha, co robią różne kontrole, obowiązane patrzeć na lepkie palce? Śpią, czy... W każdym razie kierunek reformy jest wskazany: trzeba dobierać sumienniejszych ludzi dla dozoru. Upominając się o to, znowu mamy na względzie społeczeństwo, którego niedość zahartowane moralnie żywioły zarażają się złym przykładem i które dbać musi o utrzymanie instytucyi dającej pracę. Dzięki niedozorowi opinii publicznej nad kolejami żelaznemi, zalęga się w nich zgnilizna, która, przykryta milczeniem i pobłażliwością, długo się tai, aż nareszcie wybucha wielkiemi nadużyciami. Odsłaniać bezład, niedbalstwo, złą gospodarkę — niepatryotycznie, dopiero kiedy stoczona i podkopana kretowiskami instytucya zacznie się chylić do upadku lub przejdzie w inne posiadanie, skarżymy się na okrucieństwo losów.

Dopóki *Kraj* w sporze z kilkoma pismami warszawskiemi bronił swej wielobarwności, mogliśmy nie zabierać głosu ani za nim, ani przeciw niemu: taki ma gust — i kwita. Ale kiedy nareszcie z tej pstrokatej chorągwi, którą u siebie zatknął, pragnie zrobić sztandar dla całej prasy poważnej, należy mu się od nas mała uwaga. Powiada on tak: „Czas by już doprawdy zaprzestać puszczania *kolorowych baloników*, zwanych „dziennikarskimi programami,“ czas by już było porozumieć się nareszcie, w jakich granicach możliwą jest jednolitość w poglądach, wygłaszanych na szpaltach pisma, jak daleko sięga solidarność i odpowiedzialność redakcyi za też poglądy. Dopóki pismo było gazetką, zapisywaną całkowicie przez kilku literatów, najczęściej belletrystów, którzy pisali i wyrokowali o najrozmaitszych rzeczach tak wprost, co głowa zamarzy i co ślina do gęby przyniesie, dopóki — w następnej fazie naszego dziennikarstwa—obowiązkowemi były (sic) dla pisma kilka frazesów postępowych i jakaś doktrynka, do której dopasowywało się następnie sądy i poglądy, dopóty przyklejanie takich etykietek programowych, jak: „postępowy,“ „pozytywny,“ „konserwatywny,“ „młodo-konserwatywny,“ „demokratyczny“ było przynajmniej na czasie, miało jakiś sens i umówione konwencyonalne znaczenie. Ale dzisiaj powtarzać w kółko te sakramentalne formułki może ten tylko, kto nie zdaje sobie sprawy z przeobrażeń, jakie się dokonały w rozwoju naszego piśmiennictwa peryodycznego.“ To znaczy innemi słowy: kto zapomina, że w tem piśmiennictwie powstał *Kraj*, który tęczę dziennikarską wypełnił wszystkiemi możliwemi barwami i skalę programową rozciągnął od krańca zachowawczości do krańca postępu. Inne bowiem pisma nasze albo idą w pewnych określonych kierunkach, albo kręcą się na rozstaju, na którem najdumniej stanął wielotwarzowy światowid petersburski.

Jak tu się nie dziwić: dotąd utyskiwano, że prasa nasza w większości swych organów jest bezbarwną, bezprogramową, chwiejną i niewyraźną w przeciwstawieniu do zagranicznej, zróżniczkowanej na liczne odcienia; aż tu słyszymy, że „czas by już zaprzestać kolorowych baloników“ i wstąpić na wyższy szczebel rozwoju dziennikarstwa — na wyżynę eklektyzmu. Ta rada *Kraju* jest bardzo piękną i słuszną, ale tylko wtedy, kiedy zabierający się do redagowania pisma nie ma ustalonych i przemyślanych zasad. Wówczas naturalnie redaktorowi nie pozostaje nic innego, jak zamianować się dziennikarskim sędzią pokoju, który w każdej sprawie wzywa strony przed siebie, „dopuszcza do głosu i bierze na uwagę zdania różnorodne, *chociażby wprost najsprzeczniejsze*, wreszcie wypowiada zdanie *swoje* wedle własnego rozumienia i przekonania“—czyli wyrok. Bardzo wygodna posada — nie ma co mówić—zwłaszcza gdy „audytorium“ liczne. Niejeden „mirowy“ lub gminny pozazdrościłby takiego zyskownego i nieklopotliwego urzędu, do którego potrzeba wnieść tylko łańcuch redaktorski i „własno rozumienie,“ nabyte po wysłuchaniu stron. Że *Kraj* sobie wytworzył urząd rozjemcy—nic przeciw temu nie mamy; ale niech nie zaleca go innym, choćby dlatego, ażeby potem nie potrzebował się skarżyć na naśladownictwo. Zresztą gdzie jeden do pewnej roli musi się wspinać, tam drugi musiałby się do niej nachylić. Jest to pochwały godnem, że *Kraj* pragnie się uczyć, że w każdym przedmiocie bierze od różnych ludzi płatne i bezpłatne lekcye pod postacią zamówionych i niezamówionych „listów do redaktora,“ ależ nie każdy ich potrzebuje. A nawet kto wie, czy dla powagi pisma nie byłoby lepiej, gdyby te lekcye odbywały się całkiem prywatnie, gdyby redaktor odczytawszy listy do niego pisane i wysłuchawszy „zdań najsprzeczniejszych“ objawił publicznie czytelnikom tylko „swoje.“ Wtedy i gruntowność byłaby syta i „kolorowy balonik“ cały.

W jednym z ustępów swej broszury opowiada Mackenzie, że podczas pobytu przy chorym cesarzu odbierał mnóstwo obelżywych listów, których autorowie kąsali go po piętach. Oprócz szkalowań listowych jedno z pism ilustrowanych zamieściło następujące ogłoszenie: „Czytelnikom naszym przedstawimy działalność owego żydowsko-angielskiego potwora Markowicza *alias* Mackenziego, a na dowód, że ten mniemany anglik jest rzeczywiście żydem, podamy jego portret w formacie gabinetowym.“

Jakoż pojawił się wkrótce ów wizerunek, w którym mały nos lekarza skarykaturowano na żydowski i dodano objaśnienie: „Dziadek tego anglika był żydem polskim i zwał się Markowicz. Opuściwszy Poznań, osiadł w Anglii. Morell Mackenzie, który wszystkiemu przeczy, temu *nie zaprzeczał nigdy*.“ „Szanowny mój dziadek — powiada Mackenzie — który nadzwyczaj był dumnym ze swego pochodzenia szkockiego i nigdy w życiu nie stąpił nogą po za W. Brytanię, osłupiałby niewątpliwie, usłyszawszy, że był — żydem polskim. Nie potrzebuję mówić, że gdybym rzeczywiście należał do tego znamienitego szczepu, który we wszystkich dziedzinach literatury, sztuki i nauki wydał tylu ludzi najwyższego znaczenia, czułbym z mego pochodzenia dumę zamiast wstydu.“

Czytelnik nasz widzi, że w Niemczech *tout comme chez nous*.

A teraz zapytamy *Kraju*: czy np. w takiej sprawie redakcya potrzebuje słuchać stron i urządzać głosowanie, czy też może mieć „kolorowy balonik“?

Poseł Prawdy.

PRASA RUSKA.

Praw. Wiestnik pisze:

„Ponieważ w telegramie *Agencyi północnej* z dnia 10 (22) września z Ufy słowa ministra komunikacyi, wyrzeczone przy obiedzie z powodu otwarcia kolei samarsko-ufimskiej, powtórzono bardzo niedokładnie, za konieczne uznanem zostało wydrukowanie tej mowy w całości, jak była wygłoszoną.

„Obecnie — powiedział generał adjutant Posiet — do Uralu i na Syberyę mamy jedyną tylko wygodną drogę — Kamą i koleją uralską, kolej zaś orenburska, co przekroczyła Wołgę, prowadzi na stepy środkowo-azyatyckie i ma znaczenie osobne; za Uralem przez całą Syberyę pasem długim ciągnie się sławny gościniec moskiewski. W ten sposób olbrzymią Rosyę europejską z rozleglejszą jeszcze Syberyą, między którėmi granica biegnie południkiem na przestrzeni wiorst 2,500, łączy tylko droga wodna dwóch największych zbiorowisk: wołżańsko-kamskiego i obsko-irtyskiego, zespolonych przeskakującą górne szczyty koleją szynową. Niedogodność tej drogi zawiera się w jej zbyt północnym kierunku; części jej sięgają 61° szerokości północnej. Rosya europejska ma dziś 26 tysięcy dróg szynowych; Syberya nie ma ani jednej wiorsty, i nadto żadna z linii naszej wielkiej sieci do Uralu nie sięga. Kolej samarsko-ufimska, dla której otwarcia zgromadziliśmy się właśnie, posiada zdaniem mojem ogromną wagę. Służąc za przedłużenie linii Warszawa-Samara, idącej przez całą Rosyę europejską, dotarła pierwsza do Uralu; poprowadzona do Złotoustu, przetnie góry i do samej przeniknie Syberyi. Owóż, jako pierwsze ogniwo żelaznej kolei syberyjskiej, ta nowa droga będzie początkiem linii przez Omsk, Tomsk, Krasnojarsk tudzież Irkuck, wciąż pozostając na całej przestrzeni w szerokości północnej o 55°, zbliżającej się do szerokości Moskwy. Potężna ta linia— od Warszawy przez Moskwę do Irkucka— utworzy pas żelazny, a raczej stalowy, który, związawszy ściśle obie połowy cesarstwa, da olbrzymowi, zwanemu „Rosyą,“ nową siłę — przemysłową, handlową i polityczną, nada mu to znaczenie i tę moc, z którėmi ojczyzna nasza zdoła niezakłócenie bez obaw wojennych korzystać z pomyślności rozwoju pokojowego pierwiastków fizycznych i moralnych. Wnoszę toast za najprędsze urzeczywistnienie tego pasu stalowego od Warszawy do Irkucka.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Cło. Do Rady państwa wniesiono następujący projekt ministeryum skarbu o wprowadzeniu nowego sposobu nadzoru nad lądowemi liniami granicznemi, celem niedopuszczenia do Rosyi przemycanych towarów obcych: 1) znieść na granicy zachodniej punkty przechodnie, skulański i gorzdowski; 2) ustanowić nowe punkty przechodnie w okręgach celnych wierzbołowskim i radziwiłowskim; 3) na utrzymanie ich użyć sum, uzyskanych przez zniesienie dwu pierwszych punktów przechodnich pod warunkiem, aby reforma powyższa wprowadzoną była w wykonanie z d. 13 stycznia 1889 r.

Paszporty. *Graždanin* donosi, że niezależnie od nowej ustawy paszportowej, będzie wolno pomieszczać na paszporcie męża: żonę oraz dzieci, krewnych i wychowanków do 18 lat wieku. Starsi winni mieć paszporty własne, z wyjątkiem kalek i niedołężnych starców, którzy mogą być dopisani na obcych. Kupcy gildyjni otrzymywać będą świadectwa na wyjazd od policyi.

Stypendya. Z zapisu Franciszka Kamińskiego wakuje kilka stypendyów dla niezamożnych studentów polaków, rodem z Królestwa Polskiego, katolików, rodziny Kamińskich i Borkowskich, a w braku tych, z innych rodzin. Kandydaci mogą się zgłaszać do p. Aleksandra Wysockiego, naczelnika kancelaryi komitetu Tow. kred. ziemsk. przy ul. Erywańskiej nr. 1. Pierwszeństwo mają kandydaci na ostatnich kursach. Przyjmowanie podań będzie zamknięte z d. 15 listopada.

Szkołę dla głuchoniemych otwarto w Mińsku gubernialnym.

Na wystawie powszechnej robót kobiecych w Glasgowie dział polski był przeważnie złożony z tkanin, koronek i haftów.

Towarzystwo numizmatyczne zawiązało się w Moskwie.

Obostrzenie. *Kur. warsz.* donosi, iż władze austryackie zastosowały nowe obostrzenie dla mieszkańców pogranicznych, mających przywilej przejeżdżania granicy za t. z. półpaskami.

Ustawa o konsulach zagranicznych wkrótce będzie czytana w Radzie państwa. Według nowych przepisów, konsulem za granicą może być tylko poddany ruski, który złożył odpowiedni egzamin w departamencie ministeryum spraw zewnętrznych.

Zabroniono sprzedaży pojedynczych numerów pisma humorystycznego *Szut*.

Wynalazek. Józef Fogt, sierżant straży ogniowej w Monachium, wynalazł sikawkę, poruszaną motorem naftowym.

Słotwina, miasteczko w Galicyi, skutkiem pożaru poniosło 250,000 złr. strat. 160 osób bez mienia, dachu i chleba.

Prawo duńskie. Pannie Berg, która skończyła nauki prawne w Kopenhadze, najwyższy sąd apelacyjny nie pozwolił na otwarcie kancelaryi.

Reforma leśna. Ministeryum dóbr państwa kończy obecnie reformę gospodarstwa leśnego w trzeciej części lasów rządowych w Królestwie Polskiem. Obecni leśnicy, nieposiadający specyalnego wykształcenia, będą zastąpieni na stanowiskach starszych leśniczych przez kandydatów, którzy ukończyli petersburski instytut leśny.

Poddani zagraniczni. Wskutek ukazu, zabraniającego poddanym zagranicznym żydom utrzymywać zakłady przemysłowe i handlowe w Królestwie Polskiem, zwinęło lub odprzedało swoje przedsiębiorstwa 138 osób. Wogóle zaś w ciągu roku 1,460 żydów, przebywających za paszportami, wniosło prośby o uzyskanie poddaństwa ruskiego.

Trzęsienie ziemi nawiedziło różne miejscowości Kaukazu. Pod Ardahanem runęły budynki, raniąc ludzi.

Żydzi. W Odesie policya zamyka modlitewnie żydowskie, bez pozwolenia władzy istniejące.

— Wydalanie żydów w pasie 50-wiorstowym granicznym ciągle się odbywa. Pozostawiani są tylko objęci spisem z d. 15 maja 1882 r., jako stali mieszkańcy danych miejscowości. Wszystkie inne dowody nie są uwzględniane.

— Szkoły dramatyczne przy teatrach rządowych w Petersburgu z polecenia dyrektorów nie będą nadal przyjmować uczniów żydów.

P. Oberpolicmajster, z uwagi, iż w gazetach tutejszych pojawiają się wiadomości zmyślone o różnych wypadkach, czasem nawet zatrważających, polecił swej kancelaryi (zgodnie z cyrkularzem głównego zarządu do spraw prasowych), aby we wszystkich wypadkach, w których napotka się konieczność zaprzeczenia lub sprostowania niedokładnych wiadomości, sporządzała artykuły, w celu przesyłania do redakcyj dla wyświetlenia prawdy.

Zapis. Zarząd fabryki gazu w Warszawie ofiarował 1,000 rs. dla Tow. dobroczynności, 300 na szpital Dzieciątka Jezus i 300 dla szpitala starozakonnych.

Sprawy kolejowe. W ogólnej konwencyi, zawartej między kolejami ruskiemi, w przedmiocie bezpośredniej komunikacyi, w dziale wspólnej używalności telegrafu, zastrzeżono, aby depesze służbowe, podawane przez zarządy kolei do dróg związkowych, nie zawierały więcej nad 30 wyrazów. W razie większej ich liczby, należy przewyżkę umieszczać w depeszy dodatkowej.

Obrońcy prywatni. Ministeryum sprawiedliwości opracowało nową ustawę dla obrońców prywatnych do spraw sądowych. Świadectwa, nadające im prawo praktyki, mogą być wydawane tylko przez sądy okręgowe na podstawie zdanego egzaminu, którego program będzie znacznie rozszerzony. Do prowadzenia spraw w imieniu towarzystw włościańskich potrzebne będzie nadto upoważnienie od instytucyj do spraw włościańskich.

Taryfy telegraficzne. Wskutek starań państw ościennych, międzynarodowa taryfa telegraficzna będzie szczegółowo zrewidowaną.

Bibliografia. *Katalog* księgozbioru, rękopisów, dyplomów, rycin, map, fotografij, jako też osobistych

dyplomów, adresów itp., pozostałych po J. I. Kraszewskim, uporządkował i spisał M. Pawlik, Lwów, str. 649. Spadkobiercy ogłosili ten katalog jako informacyę dla pragnących nabyć zbiór, który radziby sprzedać jednemu z prowincyonalnych miast galicyjskich.

— *Program* szkoły Politechnicznej we Lwowie na r. 1888/9.

— *Sprawozdanie* Towarzystwa opieki nad biednemi matkami oraz ich dziećmi w Warszawie r. 1887.

— *Kalendarz* ilustrowany J. Ungra na r. 1889.

— F. Jeziorański, *O różnych rodzajach wypisów hypotecznych niestanowczych*. Warszawa, str. 147.

— *Prace matematyczno-fizyczne*, wydawane przez S. Dicksteina, W. Gosiewskiego, E. i W. Natansonów, Warszawa, t. I, str. 223.

— M. Dubiecki, *Historya literatury polskiej*, zeszyt 10.

— A. Dygasiński, *Wskazówki* do ćwiczeń stylistycznych polskich, Warszawa, Gebethner i Wolff, str. 170.

Rząd francuzki uwolnił od przepisów obowiązujących tych cudzoziemców, którzy chcą przepędzić zimę w Nicy.

Konkursy. Towarzystwo naukowe w Medyolanie ogłosiło konkurs na rozprawę z historyi hypnotyzmu, o istocie zarazków i o systemie nerwowym u ssaków. Termin 30 kwietnia 1890 r. Mogą brać udział obcokrajowcy.

— Stowarzyszenie niemieckich inżenierów ogłosiło konkurs: „Zestawić krytycznie wszystkie dotychczasowe badania nad promieniowaniem ciepła przez ściany pieców, stosownie do ich materyału, położenia i kształtu, oraz nad ustrojem ciał, będących dobrymi lub złymi przewodnikami ciepła. Braki należy zapełnić własnem poszukiwaniem według metody dowolnej." Ubiegać się mogą wszyscy, bez względu na narodowość. Termin 30 grudnia 1890 r. Nagroda 5,000 marek.

Zmarli. Marya Elzenbergowa, nowelistka i tłomaczka, stała współpracowniczka *Dziennika łódzkiego*.

— M. Kostrowicka, tłomaczka.

— Appel, artysta muzyk i kompozytor, w Moskwie.

— Mikołaj Palczikow, w Petersburgu, zbieracz pieśni ludowych.

— Dr. Karol Pickert, głośny deputowany austryacki, przywódca klubu niemieckiego, w Wiedniu.

— John Ella, słynny muzyk angielski, profesor konserwatoryum londyńskiego.

— Dr. Antoni Józef Seeman, w Pilicy, Współpracownik *Tygodnika* i *Gazety lekarskiej*. Prace ważniejsze: *De arsenici efectu*, „Dziecię w stanie zdrowym i chorobliwym." Tę ostatnią przełożono na język niemiecki.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Stałej prenum. Owszem — jeżeli Pani nadeśle nam oryginał i zechce zaczekać na miejsce.

R. w Siedlcach. Polski — Chodźki, niemiecki (bardzo dobry) Flügela.

P. Henr. K. w Kijowie. Przekład bardzo niepoprawny zarówno w wierszowaniu, jak i w polszczyźnie.

P. F. H. N. w Krakowie. Z wierszy Pańskich korzystać nie możemy.

J. H. B. Nie dla nas.

Stał. prenum. Rev. philos., Th. Ribot, Paris, Libraire F. Alcan, Boulv. S. Germain 108.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 14 Октября 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.